POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 2-go sierpnia 1941r.*** **Rok III. Nr. 31**

Polskich celów wojennych nr. 1

Geograficzne położenie Polski czyni z niej w organizacji centrum i południowego-wschodu Europy czynnik rozstrzygający. Spełni ona tę rolę tym sprawniej i skuteczniej, im lepiej i zgodnie z podstawowymi interesami politycznymi, ekonomicznymi i strategicznymi załatwiona zostanie sprawa jej granic.

W ten sposób dochodzimy do najwrażliwszego punktu naszych celów wojennych. W sprecyzowaniu ich przeważa u nas jak dotąd, tak samo zresztą jak i po stronie aliantów, postawa pełna rezerwy. W oświadczeniach naszych najbardziej miarodajnych czynników nie wychodziliśmy dotąd poza ramy ogólników. Uznając słuszność tego stanowiska, podyktowaną trafnym wyczuciem "miejsca i czasu," w których dane zagadnienie winno być stawiane, myślę jednak, że wchodzimy obecnie w ten okres, w którym należało by już przystąpić do bardziej konkretnego przedyskutowania niektórych przynajmniej stron tego wielkiego, i jakże złożonego zagadnienia.

Nie chodzi mi, podkreślam to z naciskiem, o całość zagadnienia. Różne, bardzo istotne i poważne względy wymagają, aby w wielu swych punktach nie wychodziło ono z ram studiów gabinetowych, prowadzonych przez najbardziej powołane do tego czynniki. Poza nimi jednak istnieją zagadnienia dojrzałe w pełni do publicznego postawienia i do podjęcia w związku z nimi odpowiedniej akcji propagandowej. Chodzi jednym słowem o próbę zarysu pewnego rodzaju hierarchii naszych celów wojennych.

DOSTĘP DO MORZA

W hierarchii tej niewątpliwie naczelnym i bezspornym punktem, postulatem nr. 1 jest dążenie do zapewnienia Państwu Polskiemu bezpośredniego i możliwie najrozleglejszego dostępu do morza, bez czego trwałość bezpieczeństwa naszych granic w ogóle, chociaż by jak najpomyślniej na innych odcinkach rozwiązanych, jest nie do pomyślenia.

Jak długo polityka polska oficjalnie stać musiała na gruncie Traktatu Wersalskiego, sprawa ta poza wiekopomnej doniosłości dziełem należytego wykorzystania naszego ułamkowego dostępu do morza przez budowę portu gdyńskiego—występowała w jednej tylko postaci: troski, aby interesy Polski w Wolnym Mieście Gdańsku były odpowiednio do postanowień traktatowych utrzymywane i wykonywane. Wiemy, jak bardzo początkowa nasza słabość i wynikła z niej taktyka wahań oraz ustępstw zaciążyły nad tą pozycją w systemie naszego bezpieczeństwa państwowego.

Polityka, którą uprawialiśmy później wobec Gdańska w okresie naszej rzekomej "wielkomocarstwowości" przez dziwne jakieś —najdelikatniej mówiąc—zaślepienie i krótkowidztwo, była przeciwieństwem tego wszystkiego, co było w tej dziedzinie elementarnym obowiązkiem polskiej racji stanu.

Po doświadczeniach tej wojny, po śmiertelnym ciosie, którym było uderzenie dywizji niemieckich zgrupowanych w tzw. Prusach Wschodnich w same centrum i serce Polski, zagadnienie dostępu naszego do morza przedstawia się zgoła inaczej niż w latach 1918-19. Ówczesna polityka polska wychodziła z założenia, które najdosadniej i najtrafniej bodaj wyraził w swoim testamencie z 1768r. Fryderyk II, pisząc: "Kto posiądzie ujście Wisły i Gdańsk, ten będzie większym panem Polski, niż król, który w niej panuje." W związku z tym maksymalne żądanie Polski szło w kierunku przyłączenia do Polski Gdańska oraz etnograficznie polskich obszarów Pomorza, Mazowsza Pruskiego, Warmii i tzw. Powiśla /Okręg Kwidzynia i Sztumu/. Polska dopuszczała możliwość istnienia w dalszym ciągu na prawym brzegu Wisły wyspy wschodnio-pruskiej, sankcjonując w ten sposób tę największą pomyłkę przedrozbiorowej Rzeczpospolitej z czasów jej potęgi, którą było dopuszczenie do powstania a następnie do wzrostu tej enklawy.

SPRAWA T.ZW. PRUS WSCHODNICH

Nie brakło w dawnej Polsce światłych umysłów, które zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństwa istnienia tej enklawy i konieczności ścisłego związania jej z Polską lub wręcz wcielenia do Rzeczypospolitej. Niezdolność zrozumienia przez ogół szlachecki znaczenia tej sprawy zadecydowała o utracie ostatnich możliwości pozytywnego dla Polski załatwienia tego problemu za Władysława IV i Jana III. Tragicznie złośliwą zapłatą za to niezrozumienie kierunku procesu historycznego wypisanego na karcie geograficznej, było dokonanie tego procesu w odwrotnym kierunku: kolebka domu Hohenzollernów parła do połączenia się z centrum ich państwa kosztem Polski, tworząc plan jej rozbioru!

Po 250 z górą wreszcie latach wytworzyła się sytuacja, jaka może się po raz drugi w dziejach nie powtórzyć. W wyniku obecnej wojny, w której tak jasnymi promieniami zajaśniała wielkość naszego narodu, a która równocześnie tak dobitnie odsłoniła słabe, śmiertelne punkty geograficznej struktury jego państwa—sprawa tzw. Prus Wschodnich dojrzała do ostatecznego rozwiązania. Możemy dopuścić teoretycznie nawet takie rozwiązanie, iż nie wszystkie, w pełni uzasadnione nasze pretensje i dążenia zostaną całkowicie uwzględnione, że w niektórych punktach przyjąć będziemy musieli rozwiązanie tzw. kompromisowe. Na jednym jednak punkcie żadnego kompromisu z polskim programem rewindykacji terytorialnych nie ma i być nie może: na punkcie uznania całego obszaru tzw. Prus Wschodnich—poza włączeniem do Polski Gdańska—za wyłączną sferę wpływów Polski! Nie wyklucza to wcale, że przy ostatecznym załatwieniu tej sprawy Polska może w interesie trwałego uregulowania swych stosunków z odrodzoną państwowo Litwą odstąpić tej ostatniej pograniczne powiaty z głównym ośrodkiem ruchu odrodzenia litewskiego Tylżą na czele.

ARGUMENTY PROPAGANDY POLSKIEJ

Formując w ten sposób nr. 1 polskich celów wojennych stwierdzić jednakowoż równocześnie musimy, że sprawa tzw. Prus Wschodnich należy do zagadnień w opinii anglosaskiej bardzo mało przeoranych. Jak dotąd, przeważają w publicystyce i prasie głosy uważające tę ziemię za bezspornie historycznie i etnograficznie niemiecką. W związku z tym staje przed naszą propagandą wielkiej doniosłości zadanie. Musi ona podjąć systematyczną akcję wyświetlającą wszechstronnie jak w istocie rzeczy sprawa ta wygląda. Trzeba opinii anglosaskiej wykazać, że jest to obszar o najniższym w Rzeszy zaludnieniu, co z punktu widzenia przyszłej organizacji Europy, zważywszy na położenie tego obszaru i przeludnienie naturalnego jego zaplecza—nie powinno być dalej tolerowane. Nową Europę nie stać będzie na to, aby po tych strasznych spustoszeniach, które wojujący germanizm jej wyrządził, liczyć się dalej musiała z tego germanizmu względami wyłącznie prestiżowej natury!

O naturalnych dążnościach rozwojowych tej ziemi najlepiej świadczy fakt, że pośród całej jej ludności jedynie okręgi, gdzie przeważa ludność etnicznie polska /rej. olsztyńska i centrum rej. kwidzyńskiej/ wykazuje normalny przyrost ludności. Trzeba dalej wykazać, że rozwój tego obszaru zależy wyłącznie od jego zaplecza, tj. od Polski, która jedynie może zapewnić wszechstronny rozwój jego gospodarczy, uwarunkowany jego wyjątkowym, a w obrębie Niemiec zupełnie niemożliwym do wykorzystania położeniem. Trzeba oświetlić należycie dane niemieckiej statystyki, która wykazuje, że tzw. Prusy Wschodnie od lat są terenem dziwnych procesów migracyjnych. Dają one największy w Niemczech odsetek ludności emigrującej na zachód w poszukiwaniu łatwej pracy w przemyśle przy równoczesnym corocznie zapotrzebowaniu dla głównej podstawy swego gospodarstwa, tj. rolnictwa ponad 100.000 robotników rolnych z Polski.

Obok argumentów gospodarczych i ludnościowych niewątpliwą swą wagę posiadać również będą argumenty zarówno historycznej, jak przede wszystkim wojskowej natury. Wszystkie one powinny być udostępnione opinii anglosaskiej, a zalecało by się, by podjęto równocześnie akcję pogłębienia takiej świadomości wśród samych Polaków.

ZACZĄĆ OD NAZWY

W tej ostatniej dziedzinie sądzę, że nadszedł już czas, abyśmy zaznajamianie się z tym pierwszym punktem rewindykacji terytorialnych rozpoczęli od rozstrzygnięcia prostej zdawało by się, chociaż dziwnie pomieszanej sprawy—nazwy. Narzucona nam przez Niemców nazwa Prus Wschodnich jest pewnego rodzaju fałszem i wywoływać musi ciągłe nieporozumienia. Mieści się w niej ostatni ślad historyczny, że ziemia ta w znacznej swej większości zamieszkałą kiedyś była przez nieistniejący dzisiaj lud Prusów. I to wszystko. Przymiotnik: wschodni—nasuwać musi logiczne domniemanie, że ziemie na zachód od tego obszaru stanowią wspólny z nim teren tak historyczny, jak etnograficzny i gospodarczy. Tymczasem jest to ścisłe tylko w odniesieniu do najbliższego obszaru na lewym brzegu Wisły, ale nigdy w stosunku do tych ziem niemieckich, którym narzucono sfałszowaną historycznie nazwę Prus.

Stąd prosty wniosek, że obszar niewłaściwie przez nas Prusami Wschodnimi nazywany jest organiczną częścią terytorium nad brzegami Bałtyku, którego historyczna, na rzeczowym podłożu oparta nazwa brzmi: POMORZE! Jest to więc wschodnia część polskiego Pomorza i jeżeli już mamy nasze Pomorze dzielić według położenia geograficznego poszczególnych jego części, to w stosunku do dzisiejszych tzw. Prus Wschodnich jedynie uzasadnioną nazwą jest nazwa POMORZA WSCHODNIEGO w przeciwieństwie do naszego województwa pomorskiego z przylegającymi do niego powiatami pozostawionymi przez Traktat Wersalski przy Niemczech, dla którego to obszaru jedynie logicznie uzasadnioną odtąd winna być nazwa POMORZA ZACHODNIEGO.

Zdaję sobie sprawę, że przeciwko proponowanej tu zmianie podnieść można pewne zastrzeżenia z punktu widzenia ścisłości historycznej. Rewindykacji nazw nie zawsze jednak odpowiadać musi 100-procentowa ścisłość historyczna, tak jak to mieliśmy przykład w niedawnej przeszłości, kiedy to po powstaniu Państwa Polskiego rewindykowaliśmy dla całej byłej Galicji nazwę Małopolski.

Sądzę tedy, że sprawę naszego celu wojennego nr. 1 winniśmy i to od zaraz rozpocząć praktycznie od przyjęcia i stałego odtąd używania dla obszaru tzw. Prus Wschodnich polskiej nazwy—POMORZA WSCHODNIEGO.

Karol Popiel



rys. Marian Walentynowicz

Nowa agresja japońska

Gdy ogłoszono skład nowego gabinetu ks. Konoye, zawodowi optymiści i "pacyfikatorzy" w prasie angielskiej, ci sami co oklaskiwali Monachium, co do 10 czerwca 1940 roku wielbili Mussoliniego za to, że się nie dał pociągnąć Hitlerowi i co dziś jeszcze zachwycają się neutralnością jenerała Franco, "opierającego się złym wpływom Serrano Sunera "—odkryli, że Japonia separuje się od osi. Opierali to na nieobecności w gabinecie byłego ministra spraw zagranicznych, Matsuoki, który jakoby był tym demonem zaprzedanym Hitlerowi, odpowiedzialnym za wrogość Japonii wobec Wielkiej Brytanii. Tym razem rozczarowanie przyszło szybko. Oświadczenie ks. Konoye, że pozostanie wiernym osi co prawda jeszcze nie zachwiało wiary, ale zajęcie baz w Indochinach zmusiło wszystkich strusiów do wyciągnięcia głowy z piasku i spojrzenia rzeczywistości w oczy.

JAPOŃSKA "OSTROŻNOŚĆ"

Japończycy prowadzą politykę niezwykle ostrożną. Postępują jedynie krok za krokiem w nadziei, że takie przeprowadzanie ich planów na raty nie wywoła reakcji, że pozwoli zająć im dogodne pozycje strategiczne a uderzyć dopiero, gdy wszystkie atuty będą mieli w ręku. Dlatego też Japończycy nie uderzyli jeszcze na Rosję—wolą poczekać aż atak niemiecki Rosję wyniszczy. Dymisja Matsuoki, odpowiedzialnego za pakt przyjaźni japońsko-sowieckiej, wskazuje jednak na to, że i w tym kierunku Japonia rozwiązuje sobie ręce.

Nie uderzają broń Boże na Anglię, ani na Amerykę. Nawet Indie Holenderskie w chwili obecnej pozostawiają w spokoju. Ale zajmują—za zgodą Pétaina i Darlana—całe Indochiny. Tym samym ułatwiają sobie atak na drogę birmańską, będącą prawie jedyną drogą, którą pomoc europejska dotrzeć może do Chin; zagrażają Singapore, które strzeże nie tylko Indii ale przede wszystkim półwyspu malajskiego i Indii Holenderskich. Zatoka Camranh, którą obecnie zajmuje flota japońska jest bowiem bliższa Singapore o 400 mil. aniżeli dotychczasowa baza japońska na wyspach Hainan (zajętych zresztą już podczas wojny obecnej w roku 1939 wbrew wyraźnym dawniejszym zobowiązaniom japońskim). O tyleż mil jest także Japonia dziś bliższa Indii Holenderskich. W momencie więc, w którym Japonia się zdecyduje uderzyć, pozycja jej będzie nieskończenie lepsza, samo zaś zajęcie Indochin "za zgodą rządu francuskiego" w jej oczach mogło jeszcze ujść bezkarnie.

PRZYCZYNY ANGLO-AMERYKAŃSKIEJ "CIERPLIWOŚCI"

Franklin Roosevelt, jak zawsze, postawił sprawę jasno. "Prawda—powiedział — dostarczaliśmy Japonii benzyny i innych surowców. Albowiem gdybyśmy tego nie byli czynili, to Japonia byłaby uderzyła na wyspy holenderskie, by surowce te uzyskać. Nam zaś szło o utrzymanie pokoju na Pacyfiku. I przez dwa lata nam się to udało."

Japonia jest krajem bez żelaza, bez nafty, bez węgla, bez gumy, bez złota. Ogłoszenie embarga na wywóz i wwóz japoński może machinę wojenną japońską w krótkim czasie unieruchomić. I tego właśnie oddawna domagała się ta część opinii publicznej, która walkę Chin z Japonią uważała za część walki demokracji z faszyzmem. Wskazywano na to, że umożliwienie Japonii prowadzenia podboju Chin za pomocą niklu kanadyjskiego, czy benzyny amerykańskiej lub holenderskiej (ostatni układ japońsko-holenderski o dostawę nafty z Indii datuje się z 1941 roku) jest w jaskrawej sprzeczności z oficjalnymi obietnicami pomocy dla Chin i z faktem, że istotnie Stany i Wielka Brytania pomagają Chinom. Wskazywano na to, że nie ulega wątpliwości, iż Japonia jest pełnym sprzymierzeńcem osi, czekającym jedynie—podobnie jak to czynił przez pierwszy rok wojny Mussolini—na właściwy moment, by pchnąć nożem w plecy.



Przemogły jednak względy, wymienione przez Roosevelta. Na krótką wojnę Japonię jeszcze stać. Siły zaś anglo-amerykańskie nie były tego rodzaju, by pozwolić na otworzenie drugiego teatru wojennego na Dalekim Wschodzie. Trzeba więc było cierpliwie znosić agresję japońską, trzeba było cierpliwie czekać.

Obecnie zdaje się jednak, że Japonia się pomyliła. Czy istotnie groźba stała się już zbyt bliska, czy też siły anglo-amerykańskie na tyle się wzmogły, by wyzwanie przyjęto, faktem jest, że reakcja na zajęcie Indochin była niezwykle mocna. I Sumner Welles w Waszyngtonie i Eden w parlamencie Westminsterskim użyli jednego i tego samego, brzemiennego w znaczenie, słowa "agresja," by określić ostatnie posunięcie japońskie.

ZMIANA POSTAWY AMERYKI I ANGLII

Zarówno Eden w Londynie, jak Sumner Welles w Waszyngtonie oficjalnie oświadczyli, że zajęcie Indochin stanowi groźbę skierowaną przeciwko Wielkiej Brytanii, względnie przeciwko Stanom Zjednoczonym. Takich słów nie rzuca się na wiatr. Po nich muszą nastąpić—takie, czy też inne—czyny.

Eden też wyraźnie zapowiedział, że czyny te nastąpią. Przyczem wymienił między mocarstwami, które swą politykę wobec agresji japońskiej uzgodniły, nie tylko Stany Zjednoczone i dominia brytyjskie, ale także Holandię. Należy więc przypuszczać, że odpowiedzią będzie właśnie to embargo, ten bojkot ekonomiczny, który Japonię, i tak będącą na krawędzi ruiny gospodarczej, niesłychanie boleśnie uderzy. Całe bogactwa Indochin—a są one znaczne—nie potrafią zrównoważyć tego uderzenia, którym będzie pełne, a nawet częściowe embargo.

Oczywiście następne pociągnięcie znów będzie należało do Japonii. Tokio będzie musiało zdecydować, czy odpowiedzią na ekonomiczne represje brytyjsko-amerykańskie ma być otwarty atak na Indie Holenderskie, czy też Filipiny amerykańskie, albo Malaje Brytyjskie, czy też należy odczekać przed następnym skokiem. Zawsze zresztą istnieje możliwość zwekslowania kierunku południowego na północny, uderzenia na Sybir zamiast uderzenia na demokracje zachodnie.

W każdym razie ten moment, który na tym miejscu od roku z górą przepowiadałem, moment, w którym wszystkie agresje stopią się w jedną, wszystkie wojny w jedną i w którym wielki i bohaterski naród chiński, który od czterech lat z górą broni swej niepodległości stanie się nie tylko faktycznym, ale i oficjalnym naszym sprzymierzeńcem — nie jest już daleki.

SŁABOŚĆ VICHY

Jedno jeszcze złudzenie rozwiał pakt japońsko-francuski chyba już doszczętnie. Złudzenie, że jest jakakolwiek różnica między Darlanem a Lavalem, złudzenie, że marszałek Pétain czy jenerał Weygand potrafią w pewnym momencie oprzeć się żądaniom hitlerowskim, że przypomną sobie honor żołnierski. Jakżeż bowiem Vichy usprawiedliwiało krwawe walki syryjskie? Tym, że marszałek Pétain zobowiązał się bronić całości terytorium kolonialnego francuskiego przeciw *wszelkiej* agresji. Więc chociaż Syria nie była w ścisłym słowa tego znaczeniu terytorium kolonialnym francuskim, gdyż była terytorium mandatowym, które już miało podpisaną umowę o przyznaniu mu niepodległości, chociaż w tej samej Syrii Niemcy stworzyli sobie bazy dla walk w Iraku—Pétain dał rozkaz strzelania, gdy Anglicy zjawili się w Syrii. I tysiące poległy w obronie "całości Imperium francuskiego."

To wszystko, choć Wielka Brytania oficjalnie zapewniła, że nie szuka w Syrii żadnych zdobyczy terytorialnych, że pragnie jedynie zabezpieczyć się przeciw objeciu Syrii przez Niemców.

Gdy zaś idzie o Indochiny—jedną z najstarszych, a niewatpliwie najcenniejszą z kolonii—w chwili, kiedy ich oddania żąda nie dawny sprzymierzeniec, ale sprzymierzeniec wroga (wszak pokój z Niemcami nie jest jeszcze podpisany, technicznie więc mimo "współpracy" Niemcy są wrogiem Francji) marszałek Pétain zapomina o strzeżeniu całości Imperium. Zgadza się od razu na okupację i nazywa ją nawet "opieką."

Wszystko, by pomóc Niemcom do zwyciestwa—takie jest hasło Vichy. Bo panowie z Vichy wiedza, że w razie zwycięstwa brytyjskiego naród francuski pociagnie ich do odpowiedzialności i że broni ich jedynie obecność Gestapo i wojsk niemieckich.

Czesław Poznański

P.S. Miedzy oddaniem do druku niniejszego artykułu a ukazaniem się numeru przewidywany czyn nastąpił. Kredyty japońskie zostały zamrożone w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii i w Indiach Holenderskich. W skutkach równa się to embargo.

Szkic sytuacyjny

FRONT NIEMIECKO-ROSYJSKI

Na froncie wschodnim trwają gwałtowne walki, przy czym wydaje się, że druga ofensywa niemiecka powoli dogorywa. Nie osiągnęła ona zamierzonych celów. Na trzech wielkich odcinkach: leningradzkim, moskiewskim i kijowskim—Niemcy posunęli się nieznacznie, przy czym decyzja, gdzie pójdzie najmocniejsze pchnięcie, jeszcze nie zapadła. Jak słusznie pisze wojskowy sprawozdawca tygodnika "*Time and Tide*" w nrze. z dnia 25 lipca "decyzja nie jest całkowicie w rękach niemieckich: wola przeciwnika też się tutaj liczy. Według prawideł nowej taktyki niemieckiej cele stają się pierwszorzędne albo zamieniają w drugorzędne ze zdumiewającą szybkością. . . . Wydaje się jednak, że dowództwo niemieckie ześrodkowuje swoją uwagę *na Moskwie. . .*"

W danej chwili nie tylko osiągnięcie takich czy innych celów przez strategię niemiecką posiada znaczenie /jest rzeczą jasną, że ideałem dla tej strategii byłoby *opanowanie Moskwy i spowodowanie upadku régime 'u sowieckiego;* jak jednak słusznie zaznacza *George Neighbour* w rozbiorze w "Dzienniku Polskim" z dnia 25-ego lipca, na to się narazie nie zanosi/. Jest jeszcze inne pytanie, które wynurza się dzisiaj co raz wyraźniej. *Jak długo* będą mogli Niemcy utrzymać swój rozmach, jak długo wojna błyskawiczna będzie mogła wyczerpywać swoje zasoby?

GRANICE "BLITZU"

Wynalazek niemiecki: *Blitzkrieg*, przechodzi najstraszliwszą próbę. Jest to próba, w której postawiono wszystko na szalę. Przygotowania niemieckie musiały być olbrzymie. Trwały one napewno *od chwili podboju Polski.* Staje się także rzeczą dzisiaj jasną, że zmontowanie armii niemieckiej o sile *ok.* 250 *dywizji* było przeprowadzane z jednym celem i względem na oku: *marszu na Rosję.*

Blitz niemiecki ma do pokonania nowe, olbrzymie zadania. Jest rzeczą oczywistą, że—jak słusznie pisze cytowany przed chwilą sprawozdawca wojskowy tygodnika *Time and Tide*—"jest przecież jakaś granica dla walk o tego rodzaju gwałtowności. Na razie nic nie wskazuje na to, ażeby Rosjanie byli bliżsi wyczerpania, aniżeli Niemcy. To jest główny czynnik w nader krytycznej sytuacji i dopóki czynnik ten gra, *usprawiedliwiony jest optymizm.* Byłoby jednak szaleństwem, ze względu na charakter wojny, szczególnie ze względu na niespodzianki, jakie przynosi wojna nowoczesna, posuwać się poza granice tego "usprawiedliwionego optymizmu."

Do tych trzeźwych uwag dodać należy jeszcze takie oto względy: mobilizacja rosyjska została ukończona sprawnie, Rosja posiada poważne zapasy sprzętu i broni dla rezerw, rezerwy sowieckie są dobrze przeszkolone. Ilość tych rezerw jest *większa,* aniżeli ilość rezerw niemieckich.

JAPONIA SZUKA TANIEGO ŁUPU

Japonia znalazła ofiarę. Zgodnie ze swoimi możliwościami, które są niewątpliwie ograniczone, postanowiła ograbić *najsłabszego partnera* na Dalekim Wschodzie: Francję. Rząd Vichy postanowił zemścić się na Anglii za Syrię, przez poddanie Indochin Japonii. Zemsta niezawsze jest roskoszą bogów—smakują w niej także słabeusze /ci bodaj częściej aniżeli bogowie/. Vichy chce po prostu "na złość mamie odmrozić sobie uszy."

Zabawa ta może Francję drogo kosztować. Uderza bowiem tym razem nie w Anglię, która z godną podziwu flegmą unika wszelkich zbyt wielkich zadrażnień z Vichy, ale w Stany Zjd., które wyznają zasadę bardziej energicznych replik i odpowiedzi. Ponieważ japońskie rozgospodarowanie się w Indochinach oznacza zagrożenie *amerykańskiej bazy na Filipinach,* U.S.A. nie będzie tolerować tego stanu rzeczy. Narazie piętnuje się Japonię jako napastnika, ale od tego do dalszych a wielce dla Tokio niemiłych kroków, niebardzo daleko.

Manewr japoński *cementuje współdziałanie anglo-amerykańskie na Dalekim Wschodzie,* a równocześnie naraża paskudnie Vichy wobec Waszyngtonu. Być może, że Japonia zacznie się łasić wobec Waszyngtonu i obiecywać, że będzie już teraz bardzo grzeczna, ale wątpić należy, czy realistyczna Ameryka pójdzie na takie obiecanki.

Wojna na Dalekim Wschodzie przybliża się co raz bardziej.

PORTUGALIA, HISZPANIA, TURCJA

Prasę angielską obiegają alarmistyczne pogłoski o wejściu w niedługim już czasie do wojny Hiszpanii, o ataku na Portugalię, o próbach szantażu wobec Turcji, którą Rzesza chce rzucić na Kaukaz /podobno koncentracje wojsk tureckich na pograniczu sowieckim są znaczne/. Wydaje się, że wszystkie te trzy państwa uzależnione są w większej czy mniejszej mierze od przebiegu i wyników kampanii w Rosji. Turcja jest niewątpliwie pod naciskiem Rzeszy, ale posiada dzisiaj na tyłach armię brytyjską w Syrii; może się zatem łatwiej oprzeć naciskowi niemieckiemu. Pytanie—czy będzie chciała.

Hiszpania odgrywa chwilowo rolę nawoływacza pokojowego, Portugalia wie, że wystawiona jest na poważne niebezpieczeństwo niemieckie. Na razie jednak wszystko wskazuje na to, że Niemcy szantażują tymi trzema krajami, ażeby uprzytomnić Anglii powagę położenia. Są to atuty w słynnej ofensywie pokojowej Rzeszy, która pojawia się za każdym razem, gdy Rzesza prowadzi wielkie operacje wojenne na tym czy innym froncie

NOWE MOŻLIWOŚCI

Wydaje się, że w przeciągu miesiąca wiele składników sytuacji wyjaśni się. Jeżeli do 1-ego września kampania niemiecka w Rosji nie osiągnie żadnych decydujących wyników, wówczas stoimy wobec nowego odcinka wojny — możliwości spotkania armii niemieckiej w polu *na wiosnę* 1942 *i to na obszarze Rosji europejskiej.* Po raz pierwszy w tym konflikcie "Blitz" stałby się —"*Blitzem*" *pozycyjnym.*

Londyn, 25 lipca 1941.

Zbigniew Grabowski

Wojna na morzu

CHMURY NAD PACYFIKIEM

Pożoga wojenna zwolna ogarnia cały świat. Japonia, uwikłana w beznadziejną wojnę z Chinami, zdawało się nie zaryzykuje nowych zaczepek. Ale prawie bezbronne bazy Indochin, pozostające w rękach pokonanej i rozkładającej się Francji, były z jednej strony zbyt wielką pokusą, z drugiej zaś nacisk Niemiec i niepokój wewnętrzny, prowokowany przez partię militarystów japońskich są zbyt gwałtowne. W chwili, gdy piszę te słowa, bazy morskie dla Japonii w Indochinach stają się rzeczywistością, a flota wojenna państwa Wschodzącego Słońca zajmuje oddane jej przez bezwładny rząd w Vichy porty i zatoki.

Jest to cios wymierzony bezpośrednio w interesy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku, jest to zajęcie baz wypadowych na Singapore, Wyspy Filipińskie, Indie Holenderskie i w dalszym następstwie na Australię i Indie brytyjskie; jednym słowem jest to krok, który bez przeciwdziałania brytyjsko - amerykańskiego może mieć nieobliczalne wprost konsekwencje, może być początkiem końca panowania rasy białej na Pacyfiku. Dlatego ani Wielka Brytania, ani Ameryka nie mogą przyglądać się obojętnie działaniu floty japońskiej. Jakie oba te państwa przedsięwezmą kroki, trudno na razie przewidzieć. Trzeba natomiast stwierdzić, że jeśli nie zaczną działać energicznie i natychmiast, bardzo prędko może być już zapóźno. Na razie Ameryka zareagowała ogłoszeniem Japonii za agresora w stosunku do Indochin, sankcjami gospodarczymi przedsięwziętymi razem z Wielką Brytanią oraz bardzo ostrym protestem. Mówi się jawnie o zerwaniu stosunków dyplomatycznych.

Ale to wszystko są słowa. Flota japońska zajmuje tymczasem bazy francuskie i uzyskuje nieocenione pozycje strategiczne, o których jeszcze przed niedawnym czasem nawet marzyć nie mogła. Nowa zdrada Vichy może poważnie zaważyć na sytuacji na Dalekim Wschodzie, a z punktu widzenia morskiego może się stać klęską. Dlatego lada dzień, lada chwila, z chmur na Pacyfiku zaczną padać pioruny i rozpęta się burza, która bez względu na wynik zmieni wygląd Dalekiego Wschodu i zadecyduje o panowaniu, czy wygnaniu rasy białej.

NIEUSTAJĄCA WALKA NA ATLANTYKU

Tymczasem na Atlantyku walka trwa bez przerwy i co raz wyraźniej widać, że stalowe cęgi niemieckie zaczynają się rozluźniać. Wzrost liczby zatopionych niemieckich okrętów podwodnych, zmniejszenie nalotów powietrznych na konwoje brytyjskie, oraz olbrzymie straty (procentowo) tonażu "osi" wskazują to wyraźnie. Odczuć się to również daje bardzo mocno na rynku żywnościowym Wysp Brytyjskich, gdzie wiele produktów pojawiło się ponownie w handlu, a w "okręgach zbombardowanych" można dostać importowane mięso, konserwy z języków wołowych i szynkę amerykańską. Są to pierwsze dostawy dokonane na zasadzie "Prawa o Pomocy."

Jednocześnie gwałtowna ofensywa na porty i bazy okupowane przez Niemców i na porty, bazy i stocznie niemieckie wywarła swój ogromny i zbawienny skutek na "Bitwę o Atlantyk." Bombardowane w dzień i noc bazy niemieckie nie mogą pracować tak skutecznie, jak poprzednio a wiele z nich zostało zupełnie unieruchomionych. Często się zdarza, że pirat podwodny wyruszając ze swojej normalnej bazy wypadowej, już jej nie zastaje po powrocie i musi szukać schronienia gdzie indziej. Nie trzeba chyba tłomaczyć z jakimi trudnościami związany jest taki stan rzeczy.

DWIE "OFIARY"

Scharnhorst i Gneisenau "obrywają" w dalszym ciągu z powietrza. W. dn. 23.VII.b.r. wywiad brytyjski doniósł, że Scharnhorst opuścił Brest i popłynął w kierunku La Pallice. Ciekawe, że była to nie pierwsza próba tego okrętu liniowego, aby opuścić Brest. W nocy z 21.VII na 22.VII., korzystając z ciemności, opuścił on swoją niefortunną bazę (gdzie stał tak długo i nieustannie "obrywał") i skierował się na północno-zachód w kierunku . . . La Manche. Z tego można przypuszczać, że admiralicji niemieckiej wydaje się, iż jest możliwe przeprowadzenie tej wielkości okrętu liniowego przez Kanał i dotarcie do Niemiec. Ale próba nie udała się i dowódca Scharnhorst zawrócił do La Pallice.

W tym to porcie (który ma znakomite doki i gdzie pewno olbrzym niemiecki czuł się już zupełnie bezpiecznie) dopadły go brytyjskie bombowce typu Sterling i Halifax oraz "Latające Fortece." Scharnhorst dostał parę bezpośrednich trafień i zapewne nie prędko się "wyliże." Taki sam los spotkał jego braciszka, Gneisenau, który pozostał w Breście. Fakt, że nie opuścił on Brestu wraz z Scharnhorstem wskazywałby na to, że prawdziwa była wieść pochodząca z Ameryki, że w tygodniu ubiegłym (między 12.VII.,a 19.VII.) podczas jednego z licznych nalotów Gneisenau został trafiony bezpośrednio w śródokręcie, a 128 marynarzy zostało zabitych.

Jakby nie było, oba okręty znowu na dłuższy czas zostały unieruchomione. "Polska Walcząca" dawno wyrażała wątpliwości, czy w takiej walce, jaka się rozgrywa na Atlantyku, tak wielkie i nieruchawe okręty jak Scharnhorst i Gneisenau mogą uczestniczyć w akcji korsarskiej na dłuższą metę. To też prawdopodobnie, prócz uszkodzeń, pobyt ich w Breście miał inne cele, z których, wobec ucieczki Scharnhorsta do La Pallice, Niemcy . . . zrezygnowali, przynajmniej na razie. Ani bowiem Bismarck, ani Lützow do Brestu dotrzeć nie zdołały, a Gneisenau i Prinz Eugen prawie napewno są poważnie uszkodzone.

ROTTERDAM I "PORTY INWAZYJNE"

W drugim tygodniu lipca R.A.F. wykonał największy atak w tej wojnie na doki Rotterdamu i statki niemieckie i przez Niemców zasekwestrowane w porcie. 17 statków o łącznym tonażu 100.000 ton poszło z dymem, a 5 jeszcze o łącznym tonażu 40.000 ton zostało tak poważnie uszkodzonych, że nie nadają się do użytku. Był to bezsprzecznie największy dzienny nalot brytyjski, ale był on tylko jednym z wielu ataków dokonywanych dzień w dzień i noc w noc podczas obecnej ofensywy na porty i urządzenia portowe holenderskie, belgijskie, francuskie i niemieckie.

Dzięki tym atakom na Rotterdam (niezmiernie ważna dla Niemców, dzięki położeniu u ujścia Renu, baza zaopatrzeniowa) i na "porty inwazyjne" niemiecka admiralicja zmuszana jest z dnia na dzień z chwili na chwilę, do zmniejszania swego wysiłku na Atlantyku i niebawem może nadejść taka chwila, że nawet będą okręty podwodne, będą załogi wyszkolone, a nie stanie baz zaopatrzeniowych dosyć urządzonych i dosyć bezpiecznych, aby mogła sprawnie funkcjonować olbrzymia maszyna podwodna i powietrzna, uruchomiona przez Niemców w "Bitwie o Atlantyk".

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Tymczasem na Morzu Śródziemnym po zajęciu przez Sprzymierzonych Syrii i po usadowieniu się Niemców na Krecie, oraz po odciążeniu przez front rosyjski, który zabrał wiele i to najlepszego lotnictwa niemieckiego, sytuacja mniej więcej "wyrównała się" z wielką poprawką, jak zawsze, na korzyść Wielkiej Brytanii, jeśli chodzi o morze.

Na tym froncie morskim walki polegają na wzajemnych lotniczo-morskich atakach na konwoje przeciwników i na wzajemnym zatapianiu sobie transportowców, a jak okazja się nadarzy i okrętów wojennych. W ostatnim czasie brytyjskim samolotom morskim i brytyjskim okrętom podwodnym udało się zniszczyć kilka wielkich transportów włoskich, których jeden łącznie liczył z górą 30.000 ton. W tych wzajemnych napadach zginął angielski kontrtorpedowiec H.M.S. Fearless (1.375 tonn).

OCEANY POLEM NOWEJ, NADCHODZĄCEJ BITWY

Jak z tego pobieżnego przeglądu widać, na morzach świata prócz "normalnej" walki, która nie ustaje ani na chwilę, zbierają się chmury do wielkiego, znacznie groźniejszego starcia, w którym możliwe, że urzeczywistni się raz jeszcze wielka wizja "wojny przyszłości" Wellsa i zetrą się trzy najpotężniejsze floty świata.

Jaki będzie tej bitwy, czy tych bitew rezultat? . . . Prorokiem nie jestem i nigdy w proroctwa się nie wdawałem. Może dlatego udało mi się wiele wypadków na morzu przewidzieć na przód. Pewnikiem jest, że flota Wielkiej Brytanii jest znakomita i niezwykle potężna, pewnikiem jest również, że flota cesarstwa japońskiego jest trzecią na świecie z kolei potęgą morską świata i, że od czasów bitwy pod Cuszimą cieszy się sławą marynarki dzielnej i dobrze wyćwiczonej, o nowoczesnym i wciąż odnawianym sprzęcie. Marynarze japońscy również uważani są za marynarzy dzielnych o wysokim "morale." Jest to jednocześnie flota wychowana na angielskich tradycjach i przejęta wielkim respektem do wszystkiego co jest morsko-angielskie. Będzie to groźny i dzielny przeciwnik.

Marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych jest potęgą drugą na świecie po flocie Wielkiej Brytanii. Sprzęt ma wprost olbrzymi i bogato technicznie wyposażony. Również ma ogromną flotę pomocniczą i podobno doskonałe lotnictwo. Wartość bojowa jej załóg jest jednak jak dotąd wielką niewiadomą. Wojna z Hiszpanią była bardzo dawno i jest już prawie zapomniana, a doświadczenia jej i przestarzałe i żadne.

Jednakże "niewiadoma" nie oznacza bynajmniej oceny ujemnej. Amerykanie włożyli ogrom pracy w swą *Navy*, a korpus oficerski i podoficerski jest bardzo starannie dobierany i szkolony. Marynarze zaś Ameryki są to przeważnie specjaliści, zawodowi, wychowani w zdrowym duchu sportowym, poddani ostrej i swoistej dyscyplinie,—a zatem napewno będą doskonałym materiałem bojowym. To też, gdy się połączy obie potęgi morskie, brytyjską i amerykańską i do amerykańskiego bogactwa doda brytyjskie doświadczenie—można ufnie spoglądać w przyszłość na oceanach.

Bohdan Pawłowicz

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11-20 lipca 1941 r.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 8 prawdopodobnych — 2 uszkodzonych — 0	Ilość wypraw: 13	Łączna ilość samolotów: 48
	Główne cele: Brema, Rotterdam, Kilonia	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 20.VII.41.r.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 314 prawdopodobnych — 84 uszkodzonych — 27 425	Ilość wypraw: 172	Łączna ilość samolotów: 834

DOJDZIEMY

Jak Grochowską Olszyną,
Jak z Racławic pod Raszyn
Znowu fiordem, doliną,
W huku tanków i maszyn—
Idziemy.

Przez Arcol i Marengo
Odry, Warty, Elstery
Wraz z cesarską potęgą
Naddunajskie lansjery—
Idziemy.

Pod Belweder w noc mglistą,
W noc zwycięstwa i klęski,
Z podchorążym statystą,
Z filomatą wileńskim—
Idziemy.

Poprzez leśne zarośla,
Jary, gąszcza i krzaki,
Chłopcy ledwo podrośli,
Dzieci, starcy, kryjaki—
Idziemy.

Przez Bielańską, Tłomackie
Świszczą kule, lśnią klingi,
Biją w pułki kozackie
Robociarskie brauningi—
Idziemy.

Choć uboga w ordynku
Poszła wiara jak wicher.
Gruchnął w Kielcach na rynku
Legionowy manlicher—
Idziemy.

Wre zacięty bój krwawy
O tank każdy, armatę.
Przez obronę Warszawy,
Przez Łódź, Lwów, Westerplatte—
Idziemy.

Przez węgierską granicę,
Przez Madryty, Lizbony,
Góry, morza, stolice
Gna ten pęd niezwalczony—
Idziemy.

Gdzieś z Bretanii, Narwikiem
Z podhalańską brygadą,
Nad La Manchem z lotnikiem
Uskrzydloną gromadą—
Idziemy.

Wicher z piasku obnaża
Białą kość pod Tobrukiem,
Pradziad z armii Cesarza
Dzisiaj spotkał się z wnukiem—
Idziemy.

Nocą, morzem jak przez sen
Do Kolonii i Bremy
Na Ham, Hamburg i Essen—
Idziemy.

Biją bomby seriami,
Gradem kul cekaemy,
Niebo czyste nad nami
—Dojdziemy.

Antoni Słonimski

Wiersz czytany w czasie objazdu grupy pisarzy Pen-Clubu Polskiego po obozach polskich w Szkocji.



Gościna pism Pierwszej Brygady Strzelców

Po wizycie pisma lotników "Wiadomości ze Świata" gościmy w "Polsce Walczącej" z radością, serdecznie i po koleżeńsku dwa pisma Pierwszej Brygady Strzelców: dwutygodnik "Odwet" i dziennik "Nowiny." Te dwa wydawnictwa, które wytworzyły wokół siebie żywy i czynny ośrodek—Zespół Literacko-Artystyczny "Odwetu"—są świadectwem pięknej, zdrowej, twórczej ambicji kulturalnej. Życzymy powodzenia w pracy.

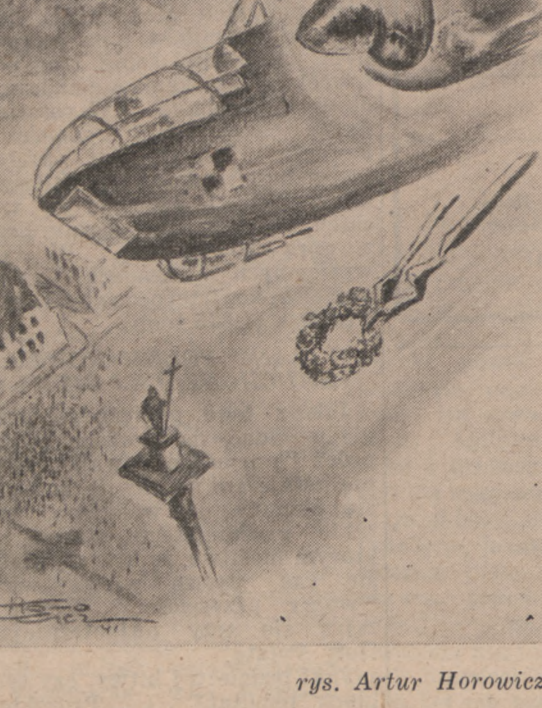
CZASOPISMO I. BRYGADY STRZELCÓW

ODWET

"Revenge," Periodical of First Polish Brigade

Price—Fourpence
Cena—4p.

WIENIEC DLA WARSZAWY



rys. Artur Horowicz

Z wrześniowych pogorzelisk czas już rozwiał dymy,
Lecz o pomsty godzinę co dzień się modlimy.
Warszawa nas wygląda i słucha najczujniej.
Na wrześniowych mogiłach kwiaty rosną bujne. . .

Patrzy czy-li nie lecą już ptaki powrotne,
Niosące na swych skrzydłach żywą Polskę Przyszłą.
Słucha czy-li nie słychać muzyki zawrotnej
Silników, pieśń zwycięstwa grających nad Wisłą.

Przeżyłaś, Męczennico, kaźnię—jakże krwawą!
Zniosłaś—dumna i mocna—największe nieszczęście,
Godności pełna Pani i Sługo—Warszawo!
Trwasz dalej, nadsłuchujesz i zaciskasz pięści.

Zaszumiało nad miastem, zakłębiło w mieście
Poszum niesamowity swą potężną łapą
Zdławił wyjących trwogą pruskich syren dwieście,
Padł strachem na Luftwaffe, Wehrmacht i Gestapo.

Wypadli z bram kamienic ludzie wynędzniali,
Wyszły z dusznych suteryn blade, głodne dzieci. . .
I nagle wszystkie twarze rumieniec rozpalił,
Serca dłońmi ściskają. Cicho . . . leci . . . leci!
Nasz, patrzcie, polskie znaki! Rzucać czapki w górę!
Wznoście ręce i krzyczcie, by zobaczył nas tu!

Przyleciał zwiastun życia, przebił śmigłem chmurę,
Nad Kolumną Zygmunta wieniec rzucił miastu.

Adam Kowalski

Wola odwetu i zwycięstwa

Dręczyło nas pod płachtami namiotów. Dręczyło nas w bezbarwnych godzinach wieczorów na zimowych leżach pytanie, towarzyszące nieustannie od granicy Rzeczypospolitej żołnierzowi w wędrówce bojowej—pytanie, daleko wybiegające poza dzień dzisiejszy: jaka będzie Nowa Polska?

Pod jednym względem wszyscy są zgodni: Polska będzie państwem sprawiedliwości społecznej. Będzie nim napewno, bo cały świat idzie w kierunku podciągnięcia dotychczasowych, poważnych niedomagań w dziedzinie socjalnej. Bez tego bowiem demokracja staje się wytartym frazesem, pustym słowem, całkowicie pozbawionym treści. Zresztą tak chce Kraj, w którego imieniu tu przebywamy, jako żywy symbol woli walki narodu polskiego. A to nie jest bez znaczenia; bardzo bowiem głęboko—głębiej, niż się to komukolwiek zdawać może—zapadła w żołnierską duszę świadomość, iż wola Kraju, ponoszącego codziennie niezliczone ofiary w podziemnej walce z najeźdźcą, jest czynnikiem, któremu powinny być podporządkowane wszystkie wysiłki zarówno Rządu, jak i wojska.

Krajowi należy się satysfakcja! Należy się za jego fenomenalną postawę przed wrześniem 1939r. we wrześniu i po wrześniu. I to tym większa należy się satysfakcja, że postawę, jakiej jeszcze świat nie widział, zawdzięczamy nie grupie wybrańców, nie elicie, ale szerokim rzeszom społeczeństwa polskiego.

Naród, który tak wysoko podniósł własne morale, że go nie potrafiły złamać czołgi nieprzyjacielskie ani masowe egzekucje oprawców, ma prawo do odwetu. Ma prawo do takiego zabezpieczenia swego rozwoju na przyszłość, aby nie powtórzył się nigdy w jego dziejach "wrzesień" i to, co po nim nastąpiło.

Jaki będzie nasz odwet?

Zdajemy sobie świetnie sprawę, że deklamacje o zabijaniu "dzieci niemieckich w łonach niemieckich matek"—to tylko deklamacje tych, którzy napewno prochu nie będą wąchali. Nasz odwet—to unieszkodliwienie Niemiec. Ponieważ naród ten wykorzystuje wszystkie zdobycze współczesnej techniki dla celów swojej zaborczej polityki, przeto będzie musiał być pozbawiony ośrodków "techniki bandytyzmu"—swego przemysłu. Będzie musiał być poddany ścisłej i bezwzględnej kontroli, która obejmie nie tylko życie gospodarcze, ale również takie dziedziny, jak np. wychowanie. Wiemy dobrze, że Niemcy wychowały swoje młode pokolenie, żywiąc je bezgraniczną pychą, żywiąc je żądzą podbojów nie w imię obowiązującej cały świat cywilizowany etyki, lecz w imię specjalnie spreparowanej etyki swoistej, polegającej na uznawaniu za dobre tego, co w danej chwili jest wygodne lub tylko potrzebne. I dlatego kontrolę rozciągnąć będziemy musieli na wychowanie, naukę, pod której płaszczykiem Niemcy przemycali swoje zbrodnicze teorie i hasła, na życie prywatne Niemców itd.

Jeżeli naród ten nie potrafił wyzbyć się myśli o podbojach innych narodów, jeżeli naród ten poszedł tak daleko, że uznał się za "naród władców," stworzony do panowania nad innymi,—musi przejść twardą szkołę, aby dojrzał do współżycia. Sposoby muszą być takie, które Niemcom do przekonania trafiają, a więc: obozy koncentracyjne, egzekucje, chłosta, kary pieniężne, więzienia. Na to nie ma rady! Do plemion ludożerców musimy przemawiać językiem, zrozumiałym dla nich.

Naród polski ma prawo do pełnej satysfakcji,—naród polski ma prawo, a my—żołnierze—mamy obowiązek odwetu.

Czy to jest wszystko? Nie!

Chcemy Polski Sprawiedliwej, chcemy, aby ten kto najobficiej przelaną krwią zadokumentował dojrzałość polityczną, a więc robotnik i chłop—przestał być przedmiotem rządów, a stał się podmiotem.

Bo i pod tym względem narodowi polskiemu należy się satysfakcja. Źle by było, jeżeli by ktoś chciał sztucznymi przegrodami dzielić bieg naszej historii. Mamy dzięki Bogu ciągłość politycznego życia, mamy legalny rząd, który przejął na obcej ziemi po poprzednim legalnym rządzie sprawowanie władzy.

Wiedząc, jak bacznie Kraj obserwuje każdy przejaw naszego życia—przedtem we Francji, a obecnie w Wielkiej Brytanii,—wiedząc ile goryczy wsączyło się w serca Polaków w Kraju, sami bacznie i surowo śledzimy wszelkie poczynania własne na obczyźnie. I wiemy, że z nich trzeba będzie zdać rachunek, — nie zawsze niestety zakończony dodatnim dla nas saldem.

W takich "tułaczkach własnych myśli," w tych dociekaniach, wyczerpujących do ostatka siły w pierwszym okresie organizowania się naszej armii na ziemi brytyjskiej—szukaliśmy płaszczyzny wymiany własnych zdań, szukaliśmy platformy wypowiedzenia tego, co ciężarnym kamieniem legło na serce: myśli o przyszłej Polsce, wolnej od drobnych spraw, wolnej od załatwiania publicznego partyjnych porachunków,—płaszczyzny szukaliśmy, pozwalającej odważnie spojrzeć prawdzie w oczy nie po to, aby małostkowe sprawy załatwiać, podjazdowe rozgrywki, lecz po to, aby nareszcie wyrwać się z ciasnego podwórka zakłamania, tak nieznośnego, że dusiło nas w najcięższym, bo organizacyjnym okresie, tym trudniejszym w naszych warunkach, że żywo w pamięci stała przed nami klęska Francji i wiele związanych z nią klęsk własnych—wewnętrznych.

Wówczas to, właśnie wówczas, powstała "Czata," czasopismo dekadowe I-szej Brygady Strzelców, — w okresie tym, kiedyśmy się dopiero organizowali, kiedy odradzaliśmy się wewnętrznie i zewnętrznie na gościnnej ziemi szkockiej. Potem, kiedy stanęliśmy na straży wybrzeża Szkocji, idea odwetu była już tak powszechna, że każda inna nazwa czasopisma brygadowego byłaby już nie do przyjęcia.

Nie wiem kto jest autorem nazwy "Odwet,"—zdaje się, że kpt. Adam K.—wiem tylko, że nazwa ta najdokładniej i najlepiej określa dążenia żołnierza polskiego, będącego symbolem woli walki Kraju, dążenia do odwetu na najeźdźcach, odwetu szerokich a systematycznie krzywdzonych rzesz polskich za każdą lekkomyślność rządzącej elity.

Tak myśli Kraj. I tak myśli jego żołnierz, Krajowi podporządkowany wespół z Wodzem Naczelnym i dowódcami.

I z tego wielkość się historyczna rodzi: wielkość spoistości wewnętrznej Polaków, którzy w ostatnim dwudziestoleciu potrafili zrozumieć i wyczuć wielkość. I kroczyć w dziejowym marszu zdołali drogą wielkości, na której spotkali się braterskim złączeni uściskiem i robotnik i chłop i inteligent z Kraju wespół z tym samym robotnikiem, chłopem i inteligentem, mającym zaszczyt noszenia munduru polskiego, reprezentującego stale i wbrew wszystkiemu wolę walki całego narodu polskiego.

Wolę odwetu i zwycięstwa.

Janusz Laskowski

NOWINY

PIERWSZEJ BRYGADY STRZELCÓW

MIAŁEŚ, CHAMIE, ZŁOTY RÓG . . .

*Miałeś, chamie, złoty róg,**
Miałeś, chamie, czapkę z piór.
Czapkę wicher niesie,
Róg huka po lesie.
Ostał ci się ino,
Ostał ci się ino
SZNUR.

Miałeś, bracie, L.O.P.P. i C.O.P.
Miałeś własny nieba strop.
L.O.P.P. i C.O.P. się spalił.
Strop się na łeb zwalił,
Buchnął płomień z piekła,
Wojna twardo rzekła:
STOP!

Miałeś żonę, dzieci, dom,
Folgowałeś szczęścia łzom.
Zgniotły pruskie pięście
Twe rodzinne szczęście.
W snach ku tobie leci
Rozkaz głodnych dzieci:
WALCZ!

Miałeś polskiej ziemi dar,
Miałeś polskiej mowy czar.
Dziś twe stopy dalej
Obca ziemia pali
A twej duszy mową
Jedno tylko słowo:
KRAJ.

Pod Krakowem gęsty las,
Pod Krakowem szumny las.
A w tym lesie ludzie
Mówią coś o cudzie
Mówią coś o czynie . . .
Odkopują skrzynie
JUŻ . . .

A nad lasem czuwa Bóg . . .
Zagrą jeszcze złoty róg!
Wrócisz z dziurą w hełmie,
Pawie pióra zdejmiesz,
Klękniesz znów pokornie
Ucałujesz kornie
PRÓG.

Adam Kowalski

* Pierwsza zwrotka tej pieśni wzięta z "Wesela" Wyspiańskiego, drugą napisał autor w Rumunii, trzecia i czwarta powstała we Francji, a dwie ostatnie zwrotki—w Szkocji.

Na odcinku

Monotonnym stukiem siecze jesienny deszcz blaszany dach naszego baraku. Kropla za kroplą—długo — długo — odstukuje się gdzieś w duszy męczącym echem, łączy w strumyki i wsiąka szarą wilgocią w rozmiękłą ziemię.

W taki dzień chandra hula na całego. Wszystko jest ciężkie, szare, przeraźliwie smutne—jak wspomnienia. Nie chce się nawet wyjść do kantyny, bo jest już ciemno, a zmylić drogę w materialnej czerni i unurzać się w lepkim błocie po pas—to niezbyt przyjemna sprawa. Leżę na swoim łóżku i bezmyślnie patrzę w rdzewiejące nadgłowie. Barak robi wewnątrz wrażenie katakumb. Po ścianach ścielą się ciemne cienie, łamane fantastycznie w wielu chwiejnych płomykach świec. Zza baraku dochodzi chrzęst kamyków, gniecionych na ścieżce twardą podeszwą. Jeszcze wyraźniej słychać plusk. "Musiało nam ładnie zalać teren"—pomyślałem. "Przyjemna służba dzisiaj"—mruknął ktoś zgryźliwie. I chociaż niejedną już taką noc spędziliśmy na odcinku i dobrze wiedzieliśmy, że nie taki diabeł straszny, jak maluje go wyobraźnia, przecież mimo woli zrobiło nam się cieplej na duszy.

Rozmyślania przerwało szarpnięcie drzwiami. W czarnym prostokącie drzwi stanął błyszczący od wody służbowy. Z płaskiego hełmu ściekały strumyki wody. "Ga — azetki — listy," zawołał, wyciągając z pod gumowej peleryny spory plik papieru. Poderwali się prawie wszyscy. "Te, dawaj!"—i równocześnie niemal wyciągnęło się kilka rąk. Te listy to jeszcze można było przeboleć. Tak niewiele odbiegały od schematu, te co wychodziły z pod kunsztownego pióra kilku "Anglików" i te, co wracały, także zbytniej atrakcji nie stanowiły. Decydującą w nich rzeczą była kwestia krzyżyków. "Czterdzieści!"—oznajmił ktoś z tryumfem. I rzeczywiście, krzyżyki ciągnęły się jak taśma do c.k-emu nawet na kopercie. Taka jeszcze jedna dziwaczna miara czułości, nie mieszcząca się w systemie metrycznym. "Antek! dwadzieścia osiem!"—"Jakiego?" burknął zapytany, zły czegoś na cały świat. "Te, popatrz tu," zaciągał nieco z lwowska uparciuch. "Pocałuj mnie w krzyżyk!" — ryknął zniecierpliwiony śledziennik. Spór nie trwał jednak długo, gdyż szczęśliwy nabywca gazet z dalszego kąta oznajmił donośnym głosem: "Nowiny!" — poczem zaczął głośno czytać co ciekawsze wiadomości ze świata, dłużej zatrzymując się przy tych z Polski.

Obsiedliśmy wszyscy piec, chłonąc chciwie słowa. Na szarej kanwie duszy malowały się jasne plamy. Znikały gdzieś ściany baraku, cichł monotonny stuk deszczu . . . robiło się jakoś cieplej i jakoś barwniej w szarym baraku. Ciepło, płynące od żelaznego piecyka i ten głos, co jak film przesuwał w umyśle obrazy, wiązało nas zebranych tu ze wszystkich stron Polski, ze wszystkich warstw społecznych, w jedną rodzinę. Wiązało nas tyle niewidocznych, a jakże mocnych nici. Wspólny pobyt na froncie norweskim był najmocniejszą.

I wtedy wyrwała się gdzieś z mózgu radosna myśl. "Tu rodzi się nowa Polska. Równa i sprawiedliwa." Złośliwy diabeł, sączący do duszy jad goryczy przebytych dni, rozpadał się w nicość. Chandra spalała się w tym cieple, szczerząc wyłamane zęby. Twarze grały życiem. Radością, dumą, wiarą, nadzieją i najmocniej twardą zawziętością. To wtedy, gdy widzieliśmy oczyma duszy—Naszych.

Gorącą dyskusję, w czasie której niemieckie samoloty spadały jak płatki śniegu, a Polska rosła do niebywałych rozmiarów, przerwało wejście jeszcze jednej zmokniętej mewy /te ptaki widywaliśmy najczęściej/, obładowanej butelkami i torebkami. To jeden z ochotników, który—jak ktoś określił—nie zginął w 20-tym roku, przyniósł część chudej kantyny. Zrobiło się wyraźnie przyjemniej. "Antek! chcesz ciastko." "A co? może będę czytał "Polskę Walczącą?"—odciął się pytany, wyrywając z rąk owo cudo kulinarnej sztuki.

"Franek! przestań do stu diabłów!"—krzyknął zniecierpliwiony słuchacz powtarzanych po sto razy słówek angielskich, poczem dla zadokumentowania swej woli kropnął wymienionego w łeb zwiniętym w kłębek kocem. Argument ten był o tyle przekonywujący, że przeciął w połowie najważniejsze zdanie w języku angielskim: "*I love you* . . ."—utknęło zniekształcone w kocu. "Anglik," posiadając temperament polski, odpowiedział natychmiast w międzynarodowym języku, od którego—jak twierdzą złośliwi—ręce puchną po łokieć. Własnoręcznie robione łóżka, mimo uwzględnienia współczynnika bezpieczeństwa, trzeszczały złowrogo.

Sytuację wyjaśnił drużynowy, który w obawie o "ta kista," stary gruchot radiowy, zapalił grat w jakiejś muzyce. Wszyscy dziwiliśmy się, że grat ten nie potrzebuje korby do puszczania go w ruch, ponieważ jednak przy wielu wadach głośniejszy był nawet od naszego drużynowego i posiadał przytem dłuższy "oddech," szanowaliśmy go.

Większość ucichła z innego jeszcze powodu. Rozebrali resztę gazet, pożerając czarne rzędy od deski do deski, chciwymi polskiego słowa oczyma. Był jeszcze jeden argument. Jutro wypadła nam w kolejce służba na odcinku. Trzeba się wyspać. Wkrótce do cichej muzyki dołączyło swe takty mnożące się chrapanie, co w połączeniu z pluskiem deszczu stwarzało najlepszą kołysankę. Niedługo potem tylko rozpalony piec świecił jeszcze przez pewien czas ciemnym żarem, a na zewnątrz pluskała woda pod nogami służby i patroli. Obóz spał jak zając z otwartymi oczyma.

Pobudka—po-obudka! wstawać! Zblekautowany barak dziwnie zachęcał do snu. Gdzieś z zewnątrz dolatywał zmatowany ścianami i rannym mrokiem dźwięk trąbki. Pierwszy poderwał się wyznaczony kolejką nieszczęśliwiec do przyniesienia kawy. Wstawaliśmy raźno, przejęci rannym chłodem. Zimna woda rychło spędziła z oczu resztki snu. Skrupulatnie przygotowywaliśmy rynsztunek polowy do odprawy służby.

Wyszliśmy w gali, garbaci z przodu maską, z tyłu pokaźnych rozmiarów plecakiem. Nazywa się to u nas "strój z szykanami."

W południe wyruszyliśmy na odcinek. Zmiana plutonów. Słońce z trudem walczyło z chmurami. Z niedawnego deszczu pozostało wiele wody i błota. Twardo stukały podkute buty naszej niewielkiej gromadki. Niewielki las, —pale groźne z pełnym wymowy napisem "*Danger*!" i wreszcie znane nam stanowisko, barak i zszarpany rowami piasek wybrzeża.

Stanowisko c.k.emów.

"Smacznego" — życzyliśmy odchodzącym. Zajęcia mamy sporo. Mrok zapada szybko, a trzeba sprawdzić karabiny, złote taśmy amunicji, czy aby broń Boże niezapiaszczone, wreszcie nastawić głodne krwi paszczęki na ogień nocny.

Możemy być dumni, bo wszystko co widać, to dzieło naszych rąk. Zastaliśmy morze, piasek i słupy przeciwczołgowe. Dziś mamy umocniony, pewny odcinek frontowy. Posterunek przy dwu stanowiskach kaemów czuwa dzień i noc. Brytyjskie morze śledzą niestrudzenie setki szarych, niebieskich i czarnych oczu ze wszystkich stanowisk. Nie ujdzie upartym, twardym oczom nawet łódka. O, my to morze znamy dziś na wylot. My dobrze wiemy, że Niemcy mają także czerwoną krew, która nieraz barwiła sine fiordy północy. My inwazji się nie boimy. Mamy tyle długów do spłacenia.

Stoję obok betonowego stanowiska i błądzę oczyma po czarnej masie, która tam w dole huczy złowrogo i swojsko—niezbadanie.

W m.p. Pierwszej Brygady Strzelców rozbrzmiewa codziennie w południe z wieży kościelnej hejnał mariacki, grany przez trębacza orkiestry brygadowej.



W miesiącu maju trębacze odgrywają ponadto codziennie wieczorem, przed nabożeństwem majowym, pieśni do Matki Boskiej.

Na chłonnie czarnych pagórkach fal błyśnie czasem bladym srebrem, otulony wałem kłębiastych chmur księżyc i zamigocą światełka . . . białe, czerwone, czerwone—i długa przerwa. To czuwają przednie straże na statkach. Wyspa może spać spokojnie.

Nagle o uszy obija się cichy, miarowy chrzęst—raz . . . dwa . . . raz. . . . Staję w cieniu, kierując broń w kierunku płynących odgłosów. "Stój! Kto idzie?" "Patrol." "Dowódca podejść do podania hasła." Cicha wymiana słów i patrol przechodzi dalej.

Odcinek czuwa!—Zbliża się północ. Na kanwie monotonnego szmeru fal rośnie tęsknota za tą Jedyną, która jeszcze nie zginęła!

Ciemną kopułę nieba przecinają nagle ostre bagnety reflektorów. Pracowicie tną granat na paski, równe, niewielkie—tworzą sieć na brzęczące gdzieś w górze owady. Słychać charakterystyczny, długi, rwany w systematycznym spaźmie, warkot. Znam go z ruin spalonej Polski i ciemnieją mi oczy. Gdzieś w dali słychać gniewne takty działek przeciwlotniczych. Po paru minutach światła gasną, niebo zszywa granatem białe pęknięcia i znów panuje wszechwładnie cisza.

Od strony baraku dochodzi mnie nowy szelest. Czyżby zmiana? przemknęło mi przez myśl. "Stój!" . . . i ceremoniał pytań powtarza się dokładnie, bo wartownik nie zna nikogo na służbie. Z dowódcą placówki przyszedł nasz kochany "Baca." Tak nazywamy ogólnie lubionego dowódcę Baonu. "Nie zimno ci?"—pyta troskliwie. "Nie, panie pułkowniku." "No a jak się stoi?" Ciepło zalewa mi duszę.

Naszego "Bacy" nie powstrzymuje ani noc, ani deszcz, śnieg, czy błoto. Wciąż jest z nami. To nie kontrola, wiemy to wszyscy i za to kochamy go jeszcze więcej.

Zmiana. "Godz. 1,30—eskadra samolotów w kierunku południowo-wschodnim, prawdopodobnie nasze; w kierunku wschodnim trzy, czerwone sygnały na morzu . . ."—melduję szczegóły minionej służby. Dowódca pisze. Gdzieś tam sprawdza po raz tysiączny, że wszystko jest w porządku.

Mija noc. Wczesny brzask rzuca nam o oczy twarde kryształki śniegu, gnane porywistym wiatrem z nad zmierzwionego białymi bryzgami morza. Jest zimno. Morze szarpie się ku brzegom. Rwie białymi kłami piany mokry piasek, lecz niezbadane moce odciągają je zwolna, odsłaniając mokrą łachę piasku, pociętą zygzakami zasieków.

Toczyliśmy upartą walkę z morzem, które z drutów zmywało nietylko kropelki krwi z rozdartych palców i potu uczciwej pracy, ale często złośliwie niszczyło nam dorobek, stworzony ciężkim trudem wielu dni. Upór człowieka jest jednak mocniejszy nawet od żywiołu. Splątane druty usuwaliśmy wraz z wymytymi spiralami z żelaza i zakładaliśmy luki z powrotem w żmudnej pracy. Mimo zimna i mokra robota szła na przód. Wprawieni od dłuższego już czasu, umieliśmy równie dobrze władać c.k.-emem, jak saperskimi nożycami i niezgrabnymi, ciężkimi zwojami kolczastego drutu. Samochody cięły mokrą płaszczyznę wybrzeża w licznych nawrotach z materiałem pionierskim.

Placówka też miała swoją robotę. Wyjęte karabiny maszynowe czyściliśmy troskliwie jak co dzień. Głodny piasek wtulał się przez noc w szczeliny chybkiej stali. Przykry pasożyt na stalowym ciele. Wreszcie wszystko gotowe.

Jak miarowy takt żołnierskiego buta płynęły dni. Tydzień służby na odcinku i tydzień zajęć w kompanii. W tym drugim wypadku mogliśmy otrzymywać przepustki do pobliskiego miasteczka.

"Stasiek, idziesz dziś do miasta?"—pytał grubawego obserwatora Zdzisiek. "Fest — wybierzemy się na pływalnię." Tam znalazło się więcej kolegów z pod berecianego znaku.

Jeden, długonogi Adonis, zdumiewał przyciężkie dziewczątka szybkim pływaniem. Jedna z nich wyraziła nawet swój niedwuznaczny zachwyt. Adonis, mający pretensje do znajomości języka angielskiego, uśmiechnął się najwdzięczniejszym uśmiechem i oświadczył uprzejmie w formie wyjaśnienia, twardo wystukując sylaby: "*I have long e* . . .!" Nastała chwila ciszy . . którą "Anglik" przypisywał swojej wymowie. Palnąłem go w bok. "Te! uważaj, tu nie restauracja." "*Och*! *sorry*"—mruknął mocno speszony . . . *long legs*. . . . Szkotka, którą poprzednio zatkało zdumienie, uśmiechnęła się swobodnie.

Był to wynik po raz ósmy chyba zaczynanych kursów języka angielskiego. Rozmowa o Nietzschem sprawiała nam pewną trudność. Poza tym mieliśmy mało praktyki. W innych oddziałach orientowali się nieco lepiej w anatomii, jako że od tego zaczyna się "Łatwa i szybka metoda . . .", a zaczynali ją z trudem rekordowo większą ilość razy od nas, jak opowiadali przy wzajemnej licytacji. Najlepiej czuliśmy się w rezultacie w lesie. Trzeba przyznać, że czasem przez te nieporozumienia można się było najlepiej porozumieć. Byli i tacy.

Jednego dnia rano, a właściwie jeszcze w nocy, ostro zagrała trąbka. A—alarm! Błyskawicznie zerwaliśmy się z łóżek. W ciągu niewielu minut byliśmy gotowi z amunicją, sprzętem, a nawet porcją "R." Auta rozwiozły nas do różnych kompanii strzeleckich. Szybkie podejście i karabiny umocnione, ze złotą taśmą naboi w miedzianej paszczęce—czekały gotowe do strzału.

"Uwaga! — Baca idzie!"—szepnął jakiś przygodny obserwator. Nieco drgnęły nam serca, bo Baca ma diablo wprawne oko i strasznie nie lubimy marsu na pogodnym zwykle czole. Przyszedł, pooglądał i uśmiechnął się. Odetchnęliśmy z ulgą. Powrót trwał równie szybko jak sprawnie.

Nauka o broni, bojówka, musztra. Jeden dzień w tygodniu, by nie wyjść z wprawy i nie odmienić się w saperów.

Sobota to był jeden z lepszych dni, o ile nie miało się placówki. Można było wcześniej wymknąć się na przepustkę, między palcami surowego szefa. Wieczorem warta miała nieco kłopotliwe zadanie, chcąc wydobyć od kilku osobników hasło. "*I love you* . . ." mruczał taki z uporem i gadaj tu z nim. Były to zresztą nieszkodliwe zawiania.

Zdarzały się przy tej okazji niezłe kawały. Kazik, który na poprzedniej przepustce wytrzasnął gdzieś dużego kudłatego psa, nie rozstawał się z wyżej wymienionym kundlem na krok. Tej właśnie soboty wracał nieco chwiejnie ze swoim przyjacielem i nagle gdy oddawał przepustkę, wpadła mu—widać na widok naszego kapitana — genialna myśl, bo zameldował się z prośbą o zaprowiantowanie swego przyjaciela. "Od ust sobie odejmuję, a bidne bydle głodne . . ." usprawiedliwiał swą prośbę, rozczulony już mocno własnymi słowami. "Panie szefie, zaprowiantować?"—zwrócił się kapitan do szefa. "A może wciągnąć na listę żołdu?"—zapytał poważnie szef. "Przydałoby się," wtrącił rozanielony Kazik. "Kości bym mu dokupił i w ogóle. . . ." "Dobrze! niech pan wciągnie także i do żołdu." "A w jakim stopniu zweryfikować?"—pytał wciąż poważny szef. Kazik, który coś się połapał, burknął: "sierżanta, bo szczeko!" poczem pięknie zasalutował i wyszedł.

Zdarzenia te jednak nie psuły wzajemnej harmonii, bo nasz dowódca i szef znali się na dobrych żartach. Biedny pies nie doczekał się weryfikacji, bo w dwa dni później nadepnął nieostrożnie na minę, która rozerwała go na strzępy. Kazik serdecznie żałował zerwanej tak tragicznie przyjaźni, obiecując, że następny kundel nie może być analfabetą, by nie podzielił losu poprzednika.

Najmilszym dniem była niedziela. Nabożeństwo, odprawiane w pięknej kaplicy z falistej blachy na polanie leśnej, robiło duże wrażenie. Nasz kochany kapelan, który wśród kul w Norwegii grzebał naszych kolegów i zaopatrywał rannych, cieszył się u nas dużą miłością. Byczy ksiądz! To więcej niż dobra ocena.

On to przenosił nas co tydzień na łono Ojczyzny, on krzepił gorącą wiarą i wlewał w serca otuchę, tępił nostalgię. Po nabożeństwie przemawiał często do nas Baca: "Wiem, że macie pokaleczone ręce, . . . wszystko wiem, . . . robimy to jednak dobrowolnie—ochotniczo. Pracujemy wszyscy bez różnicy stopni, my jedna rodzina podhalańska." Śmiały się nam oczy, bo dobrze wiedzieliśmy, że on wie naprawdę wszystko, dzieląc z nami każdą chwilę żołnierskiego życia.

Obok szarych —mieliśmy i swoje wielkie dni. Były nimi odwiedziny premiera Churchilla i Wodza Naczelnego. Ostatnia wizyta połączona była z licznymi dekoracjami krzyżem Virtuti i Walecznych. Na uroczystości był także obecny wódz armii norweskiej, który w imieniu swego rządu odznaczył naszą byłą Brygadę, a obecny Batalion, sznurem o narodowych barwach norweskich. Odtąd chodzimy na sznurku—jak twierdzą więcej zazdrośni, niż złośliwi koledzy z innych oddziałów. Często odwiedza nas także nasz wielki "Gorda," b.d-ca Podhalan. To jeszcze jedna nasza wielka miłość.

Te jednak wielkie dni wymagają osobnej historii. Moim zadaniem jest opisać te szare, płynące monotonnie, jak deszcz po falistej blasze naszego baraku.

Mijały dni—tygodnie—miesiące. Doczekaliśmy się zmiany. Jutro mamy odejść do miasta na zasłużony rzetelnie odpoczynek. Odwód. Padał znowu deszcz. Silny, zimny i przenikliwy. Taki typowo szkocki. Znów dach bębnił tysiącami kropli, a blacha jęczała żałośnie, smagana wiatrem. Było nam czegoś smutno i żal odchodzić stąd. Tu wszystko było nasze. Każda ścieżka, barak, odcinek, każdy drobiazg był nasz—przez naszą pracę.

Szare dni minionych miesięcy nabierały nagle życia, barwy, piękna. "A jednak było nam tu dobrze"—zagadał ktoś koło piecyka. I posypały się wspomnienia minionych dni. Przywilejem wspomnień jest to, że malują tylko jasnymi barwami. . . .

Dzisiaj dłuższy czas jesteśmy już w mieście. Jest nam dobrze. A jednak czasem odzywa się żal za naszym lasem.

Edward Piekło

Życie Pierwszej Brygady

Z kart pism, wydawanych przez Pierwszą Brygadę Strzelców, z artykułów i kronik brygadowej "Czaty" i "Odwetu" przemawiają świeże wspomnienia pierwszych dni po przyjeździe do Wielkiej Brytanii. Historia utworzenia Pierwszej Brygady wiąże się ściśle z małym miasteczkiem szkockim—Biggar.

"Pewnego dnia do pewnego szkockiego miasteczka zaczęły zjeżdżać pociągi za pociągami. Jacyś żołnierze zaczęli z nich wysiadać. "*There are the Poles*" —objaśniali gromadom mieszkańców kolejarze i "wprowadzeni w politykę" starsi obywatele Biggar. "Dzielnie się bili. To naród, który się nigdy nie pogodzi z myślą o utracie wolności."

"Tak, zapomniane miasteczko tętnić poczęło życiem, jakiego nigdy przedtem nie znało. Dziewczęta uczyły się polskiego tekstu pieśni, pytając gorączkowo o nasze stroje narodowe, aby w nich wystąpić na uroczystym koncercie. Stary burmistrz raz po raz wyciągał ze skrzyni gronostajowy płaszcz, nieużywany przez kilka pokoleń, aby oficjalnie reprezentować swoje miasto, aby wystąpić obok takiego wysokiego generała "*of the First Polish Rifle Brigade*," albo i innych dostojników polskich i angielskich,—bal" nawet samego brata królewskiego, Księcia Kentu!

"Ekspedientki ze sklepów po całodziennej pracy biegną do kantyn, z uśmiechem podając tam kawę żołnierzom polskim."

"Niezgrabnie i nieśmiało, ale z wielką prostotą i serdecznością najwyższą podchodzili do nas ci ludzie życzliwi i dobrzy."

"I przyszedł dzień, w którym opuścić trzeba było miasteczko. Miasteczko niezapomniane, bo pierwsze. I chociaż wiemy, że gdzie indziej znów nas przyjmą serdecznie,—zostanie zawsze przywiązanie największe tu, gdzie pierwszy spotkany przechodzień witał nas życzliwym uśmiechem."

Tyle mówi artykuł z "Czaty," poświęcony "Pierwszemu Miastu Pierwszej Brygady."

W Biggar jeszcze powstały pierwsze nasze pisma: "Nowiny" i "Czata." "Nowiny" są publikowane codziennie na powielaczu i docierają do najdalszych oddziałów Brygady. Niektóre z nich są prawie odcięte od świata, rozrzucone po różnych miejscach na wybrzeżu—dla tych żołnierzy są to bodaj jedyne źródła wiadomości. "Nowiny Pierwszej Brygady" operują materiałem z komunikatów radia brytyjskiego, włączając dziennik polski. Zespół redakcyjny korzysta prawie ze wszystkich ważniejszych komunikatów radia angielskiego, francuskiego, sowieckiego, niemieckiego i tureckiego dzięki temu, że współredaktorzy znają te języki.

"Nowiny" doczekały się już swego setnego i dwusetnego jubileuszu pod redakcją z początku Rembielińskiego, potem Janusza Laskowskiego i są obecnie pismem polskim na terenie W. Brytanii, które stoi na pierwszym miejscu pod względem ilości wydrukowanych dotychczas numerów.

W Biggar ukazał się również pierwszy numer drukowanego periodyku pod nazwą "Czata." Powstał on w nader trudnych warunkach, w dobie najgorszej, której zecerzy—mimo swych najlepszych chęci nie mogli przebrnąć przez gąszcz polskiej pisowni.

Pierwsze numery "Czaty" były preparowane "na migi," a wybrnięcie z trudności graficznych zawdzięczają one zdolnościom organizacyjnym kolegi, który przykładał zawsze tyle starań do



"Czołem panie sierżancie!"

Najmłodsi przyjaciele szkoccy są stałymi gośćmi w rejonach zakwaterowania oddziałów i szczebiocą co raz więcej po polsku



Świetlica w baraku na odcinku jednego z batalionów

szaty zewnętrznej pisma.

Zarówno "Czata" jak i "Odwet" zdobyły sobie poczytność i uznanie i poza zasięgiem Pierwszej Brygady, ba—Polonia Amerykańska dopomina się zawsze o nowy numer naszego periodyku.

Również w Biggar została zapoczątkowana [illegible]

Orkiestrze należy się specjalne uznanie. Kilka instrumentów, darowanych przez Lady Warrender, dało możność organizowania zespołu muzycznego. Obecnie składa się on z kilkudziesięciu osób i nie ma doprawdy żadnej ważniejszej imprezy polsko-szkockiej bez udziału naszej orkiestry, która swoim bogatym, świetnie odtwarzanym repertuarem uzyskała dużą popularność wśród otaczającej nas ludności.

Kiedy mowa o zbliżeniu i propagandzie—nie sposób wymienić po kolei tych wszystkich koncertów, rewii itp. imprez, gdzie zawsze wszystkie bilety były wyprzedane. Nieoceniony Błaszczyński w swoich recitalach fortepianowych, chóry [illegible] "Szopka Aktualna," "Kratka" [illegible] Biggar.

Dziś—Szkoci w tym miasteczku z dumą pokazują miejsce /gmach szkoły/, w którym formowała się Pierwsza Polska Brygada. Na ścianie zewnętrznej widnieje tam dar nasz — bronzowa tablica pamiątkowa.

Kontakty z Biggar nie urwały się bynajmniej z chwilą naszego stamtąd wyjazdu. Każda okazja uzyskania przepustki kończy się wyjazdem do Biggar. Trwa ożywiona korespondencja. Przed kilkoma tygodniami delegacja tego miasta złożyła na ręce generała-dowódcy dar: srebrną tacę dla Brygady.

Tym czasem przyjaźń rozwija się na razie bardziej. Stowarzyszenie "Legion Brytyjski" ofiarowało członkostwo honorowe naszemu Dowódcy.

Na nowym miejscu postoju zyskaliśmy sobie wkrótce nowych przyjaciół. Nasza praca kulturalno-oświatowa zatoczyła nowe kręgi. Nowo powstał zespół literacko-artystyczny, który objechał ze swoimi trzema programami większość oddziałów Brygady. Programy zostały pomyślane w ten sposób, aby poza kultywowaniem słowa polskiego w wyjątkach z arcydzieł naszej literatury—dać miejsce również twórczości żołnierskiej.

Zespół nasz jest z wyjątkiem reżysera Z., złożony z samych amatorów. [illegible] a równocześnie znana aktorka filmowa, p. Diana Napier oraz p. Hartingtonowa—jedynymi reprezentantkami płci pięknej w naszym zespole.

Wśród naszych twórców brygadowych na pierwszym miejscu musimy wymienić znanego autora pieśni i poezji żołnierskiej, Adama Kowalskiego. Z młodszych poetów brał udział w naszych "Wieczorkach Literackich" — Jan Rostworowski. Janusz Laskowski recytował swoje wiersze oraz fragmenty swojej sztuki p.t. "Śpiew Błękitnych Gwiazd." Szczególnym powodzeniem cieszą się podczas naszych występów felietony Billa, pisane gwarą warszawską. Jan Lachowicz czytał swoje obrazki, pisane prozą poetycką. Ostatnio bawiliśmy z naszym programem u lotników. Był to pierwszy wypad na "pełne wody" poza granice Szkocji.

Nowością w naszych występach jest aranżowanie ich w atmosferze kawiarnianej, przy pełnej swobodzie—coś, co przypomina czasami nastrojem "Jamę Michalikową."

Myliłby się ktoś, kto by myślał, że czas w Brygadzie upływa nam nad rozmyślaniami nad co raz to innymi imprezami. Służba ochrony wybrzeża jest ciężka, a cięższa była jeszcze w zimowej porze. Ciągłe ćwiczenia, a w wolnych chwilach — praca samokształceniowa i rozrywki: oto rozkład dnia żołnierza 1-szej Brygady.

Piękna wystawa Batalionu Podhalańskiego, mieszcząca się w gmachu Muzeum Sztuki w Dundee, gromadzi codziennie tłumy zwiedzających Szkotów. Jakaś starsza pani podchodzi do stołu z eksponatami, na którym znajduje się kryształowa szkatułka z ziemią z Polski. Grudka ziemi jest sucha, piaszczysta—podobno z Mazowsza. Starsza pani, wzruszona, prosi jednego z żołnierzy - przewodników, aby uniósł wieko szkatułki. Potem z namaszczeniem, ostrożnie dotyka ziemi, bierze szczyptę jej w palce i kładzie rękę na sercu.

Jeden z czytelników pisma *Fife News* na łamach tego tygodnika proponuje, aby hejnał, który jest codziennie w południe wygrywany z wieży jednego z kościołów w miejscu postoju Brygady—pozostał na zawsze jako pamiątka "po polskiej okupacji".

Codziennie o godzinie 12-tej w południe rozbrzmiewają na cztery strony świata dźwięki Hejnału Mariackiego, przypominając [illegible] z Krakowa. W odmiennych, obecnych warunkach dźwięczy on jak sygnał czujności naszej armii, gotowej w każdej chwili do obrony tego miłego kraju, co nam tak serdecznie gościny udzielił.

Jan Lachowicz



Dzieci szkockie przylgnęły serdecznie do polskich żołnierzy i na wzajem

Hymen, bóg małżeński, w szkockie kratkie

W jednym z artykułów "Sunday Chronicle", w specjalnie drukowanej kronice polskiej, autor rozwodzi się nad pożytecznym urozmaiceniem przedinwazyjnego okresu wyczekiwania, pisząc: "Około 60 ludzi młodych wstąpiło w związki małżeńskie. Jeżeli małżeństwa, o których mówimy, przyczynią się do nawiązania silniejszych węzłów pomiędzy Polską a Szkocją, będziemy naprawdę z nich zadowoleni. Polacy i Szkoci mają wiele wspólnych cech, a ich temperamenty zdają się bardzo dobrze ze sobą zgadzać".

Twierdzenie to wywołało burzę sprzecznych myśli w skołatanej alarmami "plot" i "pdes" głowie strzelca Pakuły. Kiedy po kampanii wrześniowej przemierzał na swój sposób Rumunię, Włochy i Francję, osiadając wreszcie w Wielkiej Brytanii, wszędzie z wrodzonym sobie sprytem warszawskiego cwaniaka potrafił wnikliwie obserwować i rozumieć dobre, lub złe strony życia społecznego obcych narodów.

Na tle prostej, szczerej i bezpośredniej analizy objawów tego życia ugruntowała się w nim głęboka wiara w istotną treść słów: "Cudze chwalicie—swego nie znacie. . ." Ilekroć zdarzała się po temu okazja głuszył zachwyty swych kolegów, roztkliwiających się nad wszystkim bez wyjątku, co obce i inne, niż polskie, a często nawet poniewierających wspaniałe osiągnięcia pracy własnego Kraju:

—Czorbom rumuńskom opchany smak barszczyku polskiego w zapomnienie spuszczasz? Italiańskie oliwki we łbie ci rosnom, sidrem kropiony żygolaku! Bon-żurem pragniesz rodzone matkie witać po wszystkiemu, aż cie inszy famieliant nagłom śmierciom pogoni. Olrajt dla mnie jesteś, szkockiem auto-biustem w ciemie stuknięty. Gracianie szanowne osobe! Sidi-baranie piaszczysty!

Teraz również komentarze strzelca Pakuły na temat małżeństw żołnierzy polskich ze Szkotkami miały tenor niezbyt przychylny:

—Harcerze romansowe, kap-oftijem pojone. Szperacze miłosne w cudzoziemskiej branży. Taki kasztan hem-end-egzem karmiony myśli, że przed każdom z brzegu ulicznego lady w lawendzie kompanej bedzie barona cygańskiego zgrywał i na zięcia dyrektora Scottish Banku się dostanie. Blek-auciarze mózgowe. Hom-gwardyjce erotyczne. A te nasze dziewuchy w Polsce na bohaterów oczekujące—to co? W staropanieństwo majom popaść? Wszystko bez tego kombinatora!

Kto był owym kombinatorem, dowiedział się od strzelca Pakuły pewnego wieczoru po kolacji dopiero kapral Wycior:

—Znowuż bez tego kanciarza chłopaki leżom, panie kapral.

—Kogo?

—Bez H-ymena, w szkockie kratkie tkanego.

—Z kiem okoliczność, panie strzelec, bo nie kapuje. W ewidencji baonowej figurantem taki nie jest. Jaka to szarża?

—Bożek, panie kapral,—bożek, co w kawalerskiem stanie zamięszanie uskutecznia, chłopaków pod pic bierze i na baby napuszcza.

—Słuchaj pan, panie Pakuła—krewniak mój co się Bożek Walenty nazywał, za posłańca w Warszawie stojał. Na rogu Marszałkowskiej i Próżnej swój ponkt miał. Znaczny był, bo dziobaty i ślepy na lewe oko, co mu Japońce na wojnie wybiły. Kolegi go wołali: Kuropatkin. Ale mu komisariat rządowy metrykie moralne dał bez pretekcji. Z dobry familji pochodził i grandy z klijentamy nie odstawiał. Nature wszelakie lubiał, więc też pił cztery razy w rok, kwartalnie. Pod wiosne, lato, jesień i zime. Taszczył flache zwyczajnej z niebieskom główkom do mięszkania, rozbierał się, ciągnął duszkiem, starej mówił "dobranoc" i się kładł pod pierzyne. Bez krzyku i hałasu. Wykitował w dwudziestem czwartem roku. Leży na Bródnie. Bożki z dziada pradziada porządne byli, więc względem czego jeich famielje pan paskudzisz?

—Co inszego posłaniec, a co inszego bożek. Dotyczący Hymen pisany jest w historii tak: starogrecki bożek małżeński. Greki, panie kapral, w bitce byli zapalczywe, ale w spokojnem czasie poniekąd leniwe do roboty. Ile nasze komorników mieli, tyle oni bożków rozmaitych. Jeden był od piękności, drugi od wody, trzeci od handlarzy, czwarty od pijaństwa, piąty od miłości. Cała ferajna. Z komornikiem miałeś pan zmartwienie?

—Faktycznie, bo opróżniał człowieka ze wszystkiego.

—A z bożkamy Greki sitwe trzymali dla osobisty wygody. Przedstaw pan sobie, że jesteś Grek i pragnienie masz się zabawić. Zmówisz pacierz do bożka Dyonizego,—zaraz frajer się znajduje, do knajpy zaprasza i ochlaj odchodzi do samego rana. Albo też na ten przykład kochanie cię naszło. Szeptem podgadasz do bogini Afrodytki, a w tem momencie facetka oko do ciebie sypie i uprzejmie dorzuca: "Chłopaczku, szukasz szczęścia—wstąp na chwilkie". Chcesz się użyrać z teściowom i posiadać swoje kobiete z dzieciakamy—od tego masz bożka Hymena. Pewniak to on nie jest i ze wszystkich Greków najmądrzej Greka struga. Jak lewom nogom z łóżka wstanie—to całe szczęście się odwraca i wpadasz pan na całego!

—W co?

—W małżeńskie zamięszanie. Osobiście przez Hymena mogłem być pokiwany. Roboty raz dłużej nie miałem, siedze sobie na ławce koło mostu Kierbedzia i pomyślonek czynie wedle tej roboty, wtem jakiś facet się przysiada i mówi: "Widze, że pan nie jesteś w sztosie. Życie jest ciężarne, szanowny panie. Raz studzi człowieka na zimno, jak galaretkie z cielęcych nóżek, drugiem razem podgrzewa, jak nie przymierzając rzemska łaźnia. W chłodnem usposobieniu pan się znajdujesz, więc tylko Hymen ratonek swój okazać może." I wytłomaczenie mnie dał na konto biura stręczycielstwa małżeńskiego pod firmom danego bożka Hymena. "Mam,—powiada—dla pana bogate niewiaste. Porządna, cnotliwa, monopolu nie pijąca, tylko śpirytus i arak. Prócz tego kobieta dekoracyjna i romansowa. Jak szatena zobaczy—to od razu na kanape siada. Ale nie z każdem. Swego jedynego pragnie z wiernościom do grobowy deski, bo już troje łachudrów pochowała." I fotografie mnie przedstawia. Jakżem spojrzał, panie kapral,—zemgliło me!

—Jakiemż skutkiem?

—Z widoku. Figure miała pod filar mostu Poniatowskiego. Myśle sobie: —Feluś—rany Boga, chyba karetkom Pogotowia w konkury pojadziesz! A agenciak do mnie: "Przybladłeś pan . . . to nic. Bez cykorii możesz pan do niej walić. Chociaż wielka, ale łagodnego poczucia. Tylko śmiało. Forsa, szanowny panie, gront. Pójdziem i załatwiem interest".

No i poszlim. Agenciak bez garkotłuka dał znać, co trzeba. Posiedzielim trochie, aż tu gospodyni wychodzi, ubrana w czarne obcisłe suknie, jak do katafalka, oczamy mnie z góry na dół sztychuje i dziewczęcem głosikiem pieje: "G-enowefa Turkowa jezdem po ostatniem nieboszczyku, świeć Panie nad jego wątłem ciałem. Rzetelny był menżczyzna, wszakżesz zamało pod względem małżeńskiej powinności obrotny. Ale kto nie żyje nie pije; a my żyjem—to wypijem i przekąsiem—no nie?" I zęby—znaczy—do mnie szczerzy. A co się obróci za zagrychom, albo, za czem inszem, to się wszystko na niej huśta. . . .

Zabawilim się przystojnie. Agenciak patefon nastawił i do pucu poknajał za papierosamy. Jak zostalim same, to gospodyni od razu do mnie na ty i przygaduje: Dzidziuś, szateny som w mojem ulubionem kolorze, za małżonkie mnie pragniesz, to okaż swoje chętkie. Cacuś mój!" Och!—nie mogie! Wódeczność zaszumiała me w głowie. Widze, że dotycząca płucamy dyszy, aż gorąc po pokoju idzie. Objęłem babe i ściskam. . . . A Turkowa z czerwonej na białe się robi. W rencach mięknie i obfitość swoje traci. . . . W uszach mnie zadzwoniło: nagła śmierć! Słyszę, że cóś gwizda w syfonowy deseń i czuje wiater. . . . Trzącham gospodynie—nie żywa. Złapałem karafkie ze stoła i łyknęłem reszte gorzały. Odeszło me i zaczynam się rozglądać.

Wiesz pan co było? Szponcik na wentylu Turkowej puścił w gumianej dekoracji i dech z niej wyleciał. Kobieta była trochie za sucha, a chciała się robić na okrągło, bo jej to lepiej do wielkości figury pasowało. I widzisz pan, panie kapral, jakbym się bez H-ymena naciął.

—Boś się pan nie sercowo, a na utrzymanie po złocisze pchał.

—A pan masz zgagie finansowe i fontów prawidłowo nie zgarniasz? Darmowem aliantem jezdeś? W małżeńskiem stanie forsa na początek musowa. Czytałeś pan, co, w "Sunday Chronicle" stoi?—

—Wiem. Żeniaczka odchodzi na całego. Prepagandzie naszej to nie szkodzi, a chłopaki profit majom i na dokładkie armie rezerwowe dla ojczyzny zawczas sposobiom.

—Z tem profitem, panie kapral, pod względem miłosnem, to jeszcze jak cie mogie—reszta—pic. Szkoty som zwyczajne długiego życia, bo nie charujom, jak nasze, a jadom na gazie i elektryce. Dana teściowa bedzie co dnia kieksy z tartem pieprzem wtrajać, a flegmatycznem swojem trybem wnuki zienciowe przeżyje na pewniaka. Prawdopodobnież dlatego z posagamy stare się nie spieszom. Do wianuszka mirtem pachnącego dołożom oporządzenie kuchenne, pare poduszek, piernaciki dwa i flaszkie z gorącom wodom do grzania pedałów. Pana młodego rzecz, na meble forse bulić.

U nas co inszego. Teściów prawo było względem posagu się martwić. Oblatany chłopak narzeczone miał do koloru i wyboru z rozmaitem opakowaniem: domeczek z morgiem pola pod włoszczyzne, piekarnie, sklep z wędlinamy, piwiarnie na miejscu i na wynos—wszystko pod gwarancje i bez kantu. Z takiem fondamentem mógł się cwaniak rozrabiać i z teściowom się kłócić, aż jej żółć wątrobe zalała. Wtenczas młode starego brali na garnuszek, a majętność całkowite w osobiste rozporządzenie. To był profit.

—Ale prepagandy sprzymierzonej nie trza było robić. Nie wiadomo co złe, a co się dobrem okaże. W kawalerskiem stanie będący mógłbyś pan też córkie farmerskie sobie przygadać i wełnę z jeich owiec szkockich do Polski wozić. Zazdrościom się posługujesz. . .

—Panie kapral,—ja rzempole włóczkie, wełne, "Trójkąt w kole." Swoje Walercie mam, a jakby nie—to polskie serce u mnie ma pierwszeństwo! Nie mówie, żeby Szkotki byli do chrzanu, ale każden jeden przyznanie mnie da, że polska dziewucha wszystkie insze w kąt odstawia! A tego kombinatora Hymena, za matremonialnego dziadka nasze gienerały powinne na wysepkie wysiudać i niech się kanciarz angielskiego przyucza, aż mu sie zęby frontowe zacznom ruszać, a dolne szczękie bedzie miał na takiem luzie, że mu amorki małżeńskie ze łba wywietrzejom.

Bill

Wydajemy "Nowiny" w polu

Żołnierz polski pod wieloma względami różni się od żołnierza brytyjskiego. Inne ma zainteresowania, inny bodaj system nerwowy. Stosunek do wiadomości wojennych może najlepiej charakteryzuje tę różnicę postawy. "Tommy" w ogóle niebardzo interesuje się wiadomościami wojennymi. Gdy kilku brytyjskich żołnierzy zbierze się w kantynie przy "*cup of tea*" będą rozmawiać o tysiącu rzeczy: o pogodzie i o ostatnim meczu cricketa, o strasznym "*sergent-major*" i nowym filmie w Picture-House i wielu innych rzeczach, tylko nie o sytuacji wojennej. Przerzucą szybko gazetę, rzucą okiem na tytuły i poszukają czym prędzej rubryki . . . sportowej. Wojna?—Wojna, to zło konieczne, trzeba ją prowadzić, ale nie ma się co nią przejmować. Tyle jest innych ciekawych i przyjemniejszych rzeczy na świecie!

Inaczej reaguje żołnierz polski. Dla niego wojna, to wszystko. Od tego jaki ma przebieg, jak się rozwija, zależy kiedy wrócimy do Kraju, kiedy zobaczymy swoich. I dlatego żołnierzowi polskiemu zawsze mało jest wiadomości. Przeczyta dziennik od deski do deski wysłucha radia i już chciałby dowiedzieć się czegoś więcej. Więcej wiadomości, więcej komentarzy, więcej materiału do rozmyślań i dyskusji.

Żołnierz polski to wdzięczny czytelnik. Ceni drukowane słowo, czyta wszystko, pożera wszelką lekturę jednym tchem. Ale zarazem nie jest to czytelnik bezkrytyczny. O nie! Jest i krytyczny i wymagający. Nie znosi by go "bujano." Nie lubi frazesów, blagi, łatwego optymizmu ani nieszczerego patosu. Drażni go wszelkie "wazeliniarstwo". Chce prawdy nieobwijanej w bawełnę, chce wiedzieć jak jest naprawdę—wszystko jedno czy jest dobrze, czy niebardzo dobrze. Przede wszystkim łaknie faktów. Oczywiście i komentarza do nich, lecz komentarza rzeczowego.

Od piszących o sprawach wojskowych i zagadnieniach wojny wymaga, by się trochę znali na tym, co piszą. Wzrusza ramionami, gdy po dwu z górą tygodniach wojny na wschodzie nagle ktoś odkrywa, że Niemcy starają się . . . obejść błota poleskie.

Głód wiadomości, świeżych wiadomości, jeszcze świeższych wiadomości zrodził prasę żołnierską. Nim przyjdzie pismo z Londynu, już tyle nowych rzeczy wydarza się na świecie, o których chciało by się wiedzieć! Jest radio, to prawda. Ale poranny dziennik radiowy jest w godzinach zajęć. Popołudniowy także. A do wieczornego daleko. . . . Poza tym zaś ten dziennik radiowy niezawsze zadawala słuchacza polskiego. Czasem mówi o rzeczach, które mogą wydawać się ważne angielskim autorom komunikatów ale niezbyt pasjonują nas—żołnierzy.

Tym się niewątpliwie tłumaczy rozwój prasy żołnierskiej. Mają swe pisma poszczególne brygady, mają nawet niektóre bataliony. Czasem chodzi o to, by otrzymać ostatnie wiadomości o dwie godziny wcześniej, niż może je dać pismo, które trzeba przywieźć. O to, by żołnierz, który idzie na placówkę, mógł zabrać ze sobą ostatnie wiadomości, przeczytać w wolnej chwili, przetrawić, gdy służbę nad morzem pełni. . . .

Nie jest rzeczą zbyt trudną "zrobić" taki dziennik żołnierski, któryby odpowiadał zainteresowaniom i życzeniom żołnierza. Prasa i radio dostarcza wiadomości, które trzeba opracować, wybrać interesujące, najważniejsze wydarzenia oświetlić, uzupełnić wiadomościami z życia brygady.

Ale dziś warunki są specjalnie dogodne. Choć jesteśmy na "froncie", to jednak żyjemy jak garnizon pokojowy. Nie zawsze wszakże tak będzie. Przyjdzie chwila, gdy wejdziemy do akcji, gdy Wojsko Polskie ruszy znowu w bój. Wówczas też trzeba będzie wydawać pismo. Ba, wówczas jeszcze tysiąc razy będzie potrzebniejsze, niż dziś. Wówczas głód wiadomości będzie jeszcze większy, możliwości jego zaspokojenia natomiast małe. Dziennik z dalekiego Londynu może nie przyjść w ogóle, lub po wielu dniach. Na słuchanie radia nie będzie na pozycji czasu. A jednak każdy będzie chciał wiedzieć, co się dzieje.

Wówczas dopiero prasa żołnierska będzie miała wdzięczne pole do popisu! Wówczas jednak warunki wydawania pisma będą trudniejsze, niż teraz. Przyjdzie wydawać je w takich okolicznościach, w jakich ukazywało się pismo żołnierskie na Krecie, które prawie do końca, pod gradem bomb, w pobliżu miejsca, gdzie lądowali spadochroniarze, drukowało się w jakiejś przypadkowo odkrytej piwnicy; w jakich, od szeregu tygodni ukazuje się dziennik obrońców oblężonego Tobruku.

Aby się do tego zadania przygotować, zespół redakcyjny "Nowin Pierwszej Brygady Strzelców" przy sposobności ćwiczeń oddziałów Brygady przeprowadził próbę wydania numeru "Nowin" w polu i dostarczenia go na miejscu oddziałom.

O wyznaczonej godzinie ładowujemy całą redakcję i drukarnię na ciężarówkę, którą zespół otrzymał do dyspozycji. Zmieści się wszystko? — Zmieściło się. Ostatecznie redakcja pisma żołnierskiego to nie luksusowy "Pałac Prasy", ze wspaniałymi fotelami klubowymi, maszynami rotacyjnymi, potężnymi archiwami. Ba nawet najbardziej popularne w każdej redakcji "pokojowej" przedmioty, t.j. kilka par . . . dobrych nożyczek dla wycinania wiadomości z innych pism, tu są niepotrzebne.

Inwentarz martwy żołnierskiej redakcji składa się: z maszyny do pisania /solidnej, przedwojennej, oczywiście z przed poprzedniej wojny światowej, tak roztrzęsionej, że nawet w czołgu na wertepach nic już jej stać się nie może/, z t.zw. woskówek, na których czcionki maszyny ryją litery, z buteleczki pięknie pachnącego płynu o zapachu i kolorze działającym podniecająco, jako że przypomina najwspanialej pomalowane paznokcie pięknej damy, a służącego do zamalowania błędu ortograficznego, który popełni jeden z redaktorów, a szczęśliwie w ostatniej chwili zauważy drugi, z aparatu radiowego, no i wreszcie ze wspaniałego /60 funtów, cholera, kosztuje!/ powielacza, który w kilkanaście minut odbija kilkaset egzemplarzy każdej strony. Normalnie w redakcji aparat ten pracuje na prąd elektryczny i "pluje" stronice, niczym maszyna rotacyjna. Teraz, na samochodzie, trzeba kręcić korbę ręką. W rezultacie obsługujący drukarnię kolega nie tylko się zmęczy, ale jeszcze "krętaczem" nazwany zostanie. . . .

Wszystko to załadowujemy na ciężarówkę wraz z zapasami papieru, stołem, dwoma krzesłami—i jazda. Zabieramy się od razu do pracy ale tylko po to, aby zrobić straszne odkrycie: oto okazuje się, że pisanie na maszynie podczas "Blitzkriegu" jest rzeczą bardzo trudną. Jeśli wojsko na swych pojazdach mechanicznych pędzi na przód bez wytchnienia—trzeba się pożegnać z gazetą! W czasie bowiem jazdy samochodem — dobrym samochodem po dobrej, doskonałej nawet drodze—pisać na maszynie prawie nie sposób! Na samolocie można by, jako że samolot nie trzęsie. Ale samolot dla redakcji żołnierskiego pisma jeszcze przewidziany—niestety—nie jest. A na samochodzie zaczynają się dziać rzeczy straszne. Maszyna trzęsie się, litery rozbiegają się, człowiek pisze jedno, a wychodzi coś całkiem innego. Oczywiście chochlik drukarski musi skorzystać z takiej okazji. W słowie "zastraszenia" oczywiście wylatuje litera "t". Chochlik drukarski to już taki diabeł, że zawsze coś złośliwego zrobi!

Po kilku próbach dajemy za wygraną i dla zabicia czasu snujemy wspomnienia o chochliku drukarskim. . . . O pięknym opisie wspaniałej uroczystości, w którym w zdaniu "Pan wojewoda stał na balkonie" złośliwy ten diabełek zmienił "t" w "stał" na dość podobną z kształtu literę. . .

Na szczęście nie jedziemy i zapewne nie będziemy w czasie akcji wojennej jeździć cały czas—chyba, że przyjdzie nam wojować z Włochami. . . . Od czasu do czasu kolumna zatrzymuje się. Wykorzystujemy każdą chwilę, każde zatrzymanie się, by napisać choćby parę wierszy. I gdy dojeżdżamy w rejon samych ćwiczeń, mamy już sporą część numeru gotową. Resztę szybko kończymy na nowym miejscu postoju.

Czekamy teraz na godzinę 13-ą na ostatnie wiadomości radia brytyjskiego. 0 13.05 najświeższe doniesienia ze wszystkich teatrów wojny są zanotowane, o 13.10 przetłomaczone i napisane na kliszy woskowej i w 10 minut później pierwszych kilkadziesiąt egzemplarzy jest gotowych. Po dalszych 20 minutach wydrukowany jest cały nakład. Dokładnie o tej samej porze, co zazwyczaj.

Motocyklista już czeka z maszyną "na gazie", by od razu zawieźć numer najpierw do Głównej Kwatery, a zaraz potem do poszczególnych oddziałów. Zabiera on także kilkadziesiąt egzemplarzy specjalnego wydania angielskiego, wydanego dla angielskich generałów, którzy przybyli na inspekcję. Zawiera ono artykulik o ćwiczeniach oraz ostatnie wiadomości ze świata.

Ćwiczenia właśnie się skończyły. Oddziały schodzą z okolicznych wzgórz, które przed chwilą szturmowały i odpoczywając, czytają swe codzienne pismo.

Próba udała się. Możemy wydawać "Nowiny" w polu. I obyśmy jak najprędzej już je w polu wydawali! Gdy wracamy, a lekkie kołysanie samochodu, zamiast denerwować—jak wówczas, gdy trzeba było pisać na maszynie—uspasabia do drzemki i marzeń, wyobrażamy sobie ten dzień, gdy w naszej "redakcji na kółkach" drukować będziemy numer "Nowin Pierwszej Brygady Strzelców" na przykład na "Unter den Linden" w Berlinie. . . .

Aleksander Boray



Praca w polu



Kolportaż



Generał Cory i Dowódca I. Korpusu czytają egzemplarz "Nowin"

"Nowiny" o wizycie pisarzy polskich

W dniach 21—26 lipca b.r. grupa pisarzy z Pen-Clubu polskiego w składzie: Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Maria Kuncewiczowa, Mieczysław Lisiewicz, Antoni Słonimski, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska—odwiedziła kilka obozów Wojska Polskiego w Szkocji. "Nowiny" w nr. 203 z 23 lipca zamieściły obszerne, całostronicowe sprawozdanie z dwu wieczorów literackich, odbytych na terenie Pierwszej Brygady. Sprawozdanie kończy się słowami:

"*Wyrosła w wolności ducha wspaniała myśl polska i teraz nie stłumiła swego pędu. W mundurze czy cywilnym ubraniu mistrzowie słowa kontynuują jej rozwój, dodając olbrzymie, nowe wartości, dodając głębię dzisiejszych czasów, które wstrząsnęły naszym Narodem.*

Niechże przyjmą słowa podzięki za to, że myślą swoją i pracą podzielili się z żołnierzami, niechże zechcą uwierzyć, że właśnie w wojsku mają najliczniejszych i najbardziej oddanych odbiorców."

23-go lipca w siedzibie Dowództwa Brygady Zespół Literacko-Artystyczny "Odwetu" odwzajemnił się pisarzom wieczorem, w którym pokazał swój dotychczasowy dorobek.

Przegląd polityczny

Pięć tygodni temu, w dniu wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, pisaliśmy na tym miejscu, że "konflikt ten przekreśla rozbiór Polski, dokonany we wrześniu 1939 roku." Umowa między Polską a Rosją potwierdza to zdanie w sposób konkretny, oficjalny, prawny. Bieg wypadków jest tak szybki, w tej nowoczesnej, błyskawicznej wojnie wydarzenia zarówno wojskowe, jak i polityczne przesuwają się w tak zawrotnym tempie, że trudno w tej chwili ocenić całą głębię tej historycznej doniosłości, jaką jest unicestwienie tych wszystkich umów rosyjsko-niemieckich, które według słów Ribbentropa z sierpnia 1939 roku miały stanowić "raz na zawsze utrwalony stan prawny, łączący Niemcy i Rosję węzłami najbardziej żywotnych, wspólnych interesów." Ten kamień grobowy, który we wrześniu 1939 roku przywalił Rzeczpospolitą—miał dwie pieczęcie. *Dzisiaj jedna z nich znika i fakt ten potwierdzają dobrowolnie i za obopólną zgodą zawarte umowy między Polską a Rosją.* Od czasu traktatu ryskiego jest to najdonioślejsze wydarzenie w stosunkach polsko-rosyjskich.

Rosja, przekreślając swe pakty z Niemcami i przesyłając swego ambasadora do chwilowej siedziby Rządu Polskiego, uznaje nie tylko naszą suwerenność państwową, ale również integralność terytorium Rzeczypospolitej. *W umowie polsko-rosyjskiej nie ma żadnych wyrzeczeń terytorialnych, żadnych ustępstw z tych praw, jakie rząd polski posiada na całym obszarze państwa polskiego.* Tak pojmuje odnośne ustępy umowy Rząd Polski, tak pojmuje polskie społeczeństwo w kraju, tak wreszcie pojmuje rząd angielski. Nie jest wykluczone, że znajdą się ludzie, którzy z najrozmaitszych powodów będą się starali wmawiać, w świat, że jest inaczej, że umowę między rządem polskim a sowieckim, należy interpretować nie na naszą korzyść, ale na niekorzyść, że będzie się podawało jakieś niedomówienia, które kiedyś będzie można wysunąć przeciwko żywotnym interesom Rzeczypospolitej. Przed takimi głosami należy najusilniej przestrzec, gdyż jakiekolwiek interpretowanie umowy między Polską i Rosją nie "in plus," ale "in minus" dostarcza jedynie argumentów naszym przeciwnikom i obniża tę powagę, jaką wyrobił sobie wśród rządów i ludów świata—Rząd i Naród Polski.

Znajdą się również nihiliści dyplomatyczni, wychodzący z założenia, że w "dzisiejszych czasach" wszystkie w ogóle umowy i traktaty są zbędne, gdyż nie ma całkiem pewnych gwarancji ich dotrzymania. "Czy Rosja—będą pytali—dotrzymała układu o nieagresji? Czy Rosja wypełniła swe zobowiązania względem Ligi Narodów? Czy nie umożliwiła Niemcom wywołania wojny światowej?"

Rosja umów międzynarodowych nie dotrzymała, i pod tym względem przewyższyły ją tylko Niemcy, które podarły wszystkie, najbardziej uroczyste i tylekroć ponawiane przyrzeczenia i pakty. Ale *w tym wypadku gra poważną rolę czynnik politycznego interesu Rosji.* Polityka z sierpnia i września 1939 roku okazała się dla Moskwy fatalna. Układy z Niemcami pchnęły olbrzymie państwa w odmęt wojny i zagroziły śmiertelnym niebezpieczeństwem Rosji, jej najżywotniejszym podstawom nie tylko w Europie, ale i w Azji. Na długie lata przed wojną wykazywaliśmy tę historyczną prawdę, że wielkość i niepodległość Polski leży w interesie Rosji, tak, jak w interesie W. Brytanii leży niepodległość Francji, Belgii, Holandii. O tej prawdzie przekonuje się dzisiaj lud rosyjski. I jeżeli myśl polityczna Moskwy będzie się rządziła jakimikolwiek logicznymi przesłankami, to mamy pełne prawo przypuszczać, że straszna lekcja nie pójdzie na marne.

Gwarantką umowy polsko-rosyjskiej jest W. Brytania. Jest to fakt doniosłości niezmiernej. Zaprzecza on różnym, piątokolumnowym kłamstwom, szerzonym z całą perfidią, jakoby kwestia granic i w ogóle stosunku Polski do Rosji—Anglię nie obchodziła, jakoby "Anglia, nie mająca wspólnych granic z Rosją Sowiecką, odnosiła się do tych spraw obojętnie." Stanowisko W. Brytanii ma bardzo dużo podobieństw ze stanowiskiem Polski. *W. Brytania posiada wspólne granice z Rosją—granice na terenie tak doniosłych wpływów, jak Azja.* Albowiem popełnia zasadniczy błąd ten, kto twierdzi, jakoby granicami Anglii było tylko Morze Północne i Kanał La Manche. Granice Anglii biegnące przez Himalaje, Afganistan, Persję, Irak są dla W. Brytanii nie mniej ważne i żywotne, jak dla nas wschodnie granice Polski. Stąd ta ogromna i tak dla nas szczęśliwa zbieżność interesów zarówno Rzeczypospolitej, jak i W. Brytanii. *Zbieżność tym większa, że wschodnie granice Polski są jednocześnie granicami Środkowej Europy, w obronie której Anglia chwyciła za broń i której los nie jest i nie może być dla Londynu obojętny.*

Umowa polsko-sowiecka ma również inne, bardzo poważne znaczenie: wyzwala z więzień i obozów koncentracyjnych tysiące i dziesiątki tysięcy Polaków na całym terenie Rosji. Los ich obchodzi nas w tym samym stopniu, jak los każdego życia polskiego. *Byłoby wprost zbrodnią nie wykorzystać każdej sposobności, jaka się nadarza, aby rodakom naszym dopomóc, aby życie polskie, tak dzisiaj cenne, ratować.* Polacy w Rosji są już wolni. W Moskwie na wiadomość o pomyślnym obrocie układów polsko-sowieckich, wypuszczono na wolność setki naszych rodaków, pomiędzy którymi są tacy wybitni działacze polityczni, jak Grabski, Głąbiński ,Szczyrek, Bagiński, dyrektor Ossolineum Lewak i wielu innych. Zaproponowano im ze strony sowieckiej utworzenie Polskiego Komitetu Narodowego. Rodacy nasi propozycję tę odrzucili, uzależniając wszelką społeczno-polityczną pracę od ukończenia rokowań z legalnym rządem polskim, znajdującym się z powodu przebiegu działań wojennych chwilowo w Londynie. Podpisanie umowy polsko-rosyjskiej wyzwala Polaków nie tylko z więzień i obozów koncentracyjnych, ale stwarza jednolity front polski w walce z Niemcami, które za jeden z największych celów wojny, postawiły sobie zniszczenie już nie państwa, ale narodu polskiego i po tej drodze kroczą dalej, z szatańską konsekwencją.

Umowa polsko-sowiecka, z gwarancją nienaruszalności Państwa Polskiego przez W. Brytanię, wzmacnia w bardzo poważnym stopniu role i znaczenie Polski w świecie w ogóle, a w Europie Środkowej w szczególności. Linia Narodu Polskiego jest prosta i jednolita, bez żadnych zboczeń, bez żadnych odchyleń, stanowisko społeczeństwa pełne godności, wyczucie zarówno polskiej racji stanu, jak i polskiego honoru—ogromne i powszechne. Wojna obecna, która toczy się nie tylko w obronie wolności, ale także w obronie wielkich wartości moralnych—ma w stanowisku narodu polskiego sprawdzian najwyższych swych celów. I dlatego słowa brytyjskiego męża stanu, że "W. Brytania ma wielu towarzyszy broni, ale prawdziwym jej sprzymierzeńcem jest Polska"—są nie tylko wielkie, ale i słuszne. Jesteśmy ośrodkiem równowagi europejskiej. Prawdę tę potwierdziło stanowisko W. Brytanii w czasie układów polsko-rosyjskich. Polska służyła i służy wielkiemu dziełu pokoju i bezpieczeństwa Europy. I rolę swą spełni do końca, zarówno w obecnej wojnie, jak i w okresie budowania nowego gmachu wielkiej sprawiedliwości świata.

W krótkim przeciągu czasu Władysław Sikorski, Premier i Wódz Naczelny, dokonał dwóch czynów, ważnych pod względem politycznym. Pierwszym była podróż do Stanów Zjednoczonych i konferencje z Rooseveltem. Drugim przeprowadzenie układów z Rosją. Przyznaje to opinia całego świata, z wyjątkiem naturalnie Niemców. Ci ostatni usiłują podważyć pracę Sikorskiego, tłomacząc rzekomą "ustępliwość" Sowietów—niepowodzeniem rosyjskiej akcji wojskowej. Jest to jedno kłamstwo więcej. Rokowania między rządem polskim a rosyjskim toczyły się w chwili poważnych niepowodzeń, ale niemieckich. W dniu, w którym podpisywano umowę, radio berlińskie po raz pierwszy musiało przyznać, że "*opór rosyjski jest o wiele silniejszy, aniżeli można było przypuszczać*" i "*trudności terenowe wzrastają*".

To ostatnie zdanie jest nonsensem, gdyż karta geograficzna Rosji nie zmieniła się od chwili wybuchu wojny. Zmieniły się natomiast poglądy na rzekomą "niezwyciężoność" armii niemieckiej. Z obroną zaporową przeprowadzaną w głąb—taranowe uderzenia dywizji motorowych nie mogą sobie dać rady. Armie które otaczają dywizje rosyjskie—są z kolei same otaczane. Sprawdza się stare polskie powiedzenie o Kozaku i Tatarze. Nie jest to bynajmniej dla nas niekorzystne. Przeciwnie, życzymy Rosji, aby broniła się jak najdłużej, aby osłabiła jak najbardziej armie Hitlera, aby wszystkie zamysły niemieckie użycia Rosji w ostatecznej rozgrywce o panowanie nad światem—obróciły się w niwecz. O losy wojny i związane z nimi nierozerwalnie losy Polski jesteśmy dzisiaj spokojni. Spokojniejsi, niż kiedykolwiek od chwili wylądowania na ziemi brytyjskiej.

tk



SPIS RZECZY.







WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.